PRZEGLĄD WIELKOPOLSKI



Kościół św. Mikołaja w Olszowej koło Kępna. Erygowany w 1656 roku
Autor: Antoni Serbeński — Ostrzeszów

ROK II — 1946 GRUDZIEŃ — NR 12

PRZEGLĄD WIELKOPOLSKI

MIESIĘCZNIK REGIONALNY
pod redakcją
DR ZDZISŁAWA GROTA

SPIS TREŚCI

Kierownictwo graficzne: Marian Romała

Sekretarz Redakcji: Mgr Zofia Grotowa

Wydawca: Jan Jachowski, Poznań, Zygmunta Augusta 1. — Nakładca: Księgarnia Akademicka, spółdzielnia z odp. udziałami, Poznań, Zygmunta Augusta 1. — Adres Redakcji: Poznań, Garbary 65/67 m. 5.

Adres Administracji: Poznań, Zygmunta Augusta 1.

PKO V-242. Właściciel konta: Księgarnia Akademicka, sp. z odp. udz. Konto czekowe nr 44 w banku „Społem" — Oddział w Poznaniu. Telefon: 35-53.

6070 — XII. 46. 2000 — K-23103

PRZEGLĄD WIELKOPOLSKI

MIESIĘCZNIK REGIONALNY

POŚWIĘCONY ZAGADNIENIOM KULTURY WIELKOPOLSKIEJ W PRZESZŁOŚCI I W CHWILI OBECNEJ

Rok II | Poznań, grudzień 1946 r. | Nr 12

Wiktorii i Józefowi Majchrzakom

Dr Jerzy Młodziejowski

BOŻE NARODZENIE W ŁĘCE MROCZEŃSKIEJ

Łęka Mroczeńska jest średnio wielką wioską pomiędzy Mroczeniem a Nową Wsią Książęcą. Liczy bez mała 100 „dymów", o czym poucza ciekawego krajoznawcę polska mapa topograficzna w sekcji Rychtala i Byczyny. Położona na niewielkiej wysoczyźnie a raczej niziutkim dziale wodnym między dwiema strugami o dość zatorfionych brzegach — jest ta Łęka Mroczeńska ustronną wioską powiatu kępińskiego. Kiedyś należała do kompleksu dóbr Mroczenia. Jeszcze dziś stoi w nim biały, przyjemny pałacyk. Po parcelacji majątku Wężyków jeszcze przed „tamtą" wojną powstały niewielkie kolonie z kilkunastu domków zaledwie złożone. Łęka należy do parafii grębanińskiej. Drewniany kościółek w otoczeniu starych drzew ma swą pięknie zapisaną historię i czeka wciąż na bliższe nim zainteresowanie krajoznawców. Na uboczu wsi stoi murowana szkoła. Do niej tuli się maluteńki budyneczek dawniejszej szkółki. Oba otoczone owocowym sadem. W licznych ulach śpią pszczoły i czekają lipowych godów, miodem płynących.

Nasz miły gospodarz mówi mi, że jutrzejszym wieczorkiem przyjdą zapewne „Andrzeje" z Mroczenia. Rad jestem, że będę mógł ich zobaczyć, bo to prastary polski obyczaj ludowy. Wieś wielkopolska chowa jeszcze mnóstwo dawnych obrzędów, nie pokazuje ich jednak na zbyt publicznym rynku miejskim. Trzeba się przecież zagłębić w pokłady dawności, na uboczu leżące wioski odwiedzić a wyłuska się nieprzewidziane skarby odległych w czasie i pochodzeniu obyczajów.

Jakoż zjawiają się oczekiwani goście. W obu wioskach nazywają ich „Andrzejami". Zaczynają obchodzić domostwa od dnia św. Andrzeja po Wilię mniej więcej. Cała „ekipa" składa się z czterech głównych osób: Heroda, Sługi, Śmierci i Diabła. Scenariusz zapisałem wiernie i podaję go poniżej wraz z całym „arsenałem" prymitywu.

Wchodzi sługa podaje Herodowi krzesło, na którym osławiony król siada.

Herod: Jam król monarcha, jam świata całego, jam jest potęgą narodu wszelkiego. Pod moją mocą są cztery części świata, niech się nie troszczy żadna „nautrata"(?). Na mój rozkaz, na moje wezwanie, niech feldmarszal przede mną stanie!

Sługa: Ja stoję przed tobą, najśliczniejszy Panie, co tylko rozkazem — wszystko ci się stanie!

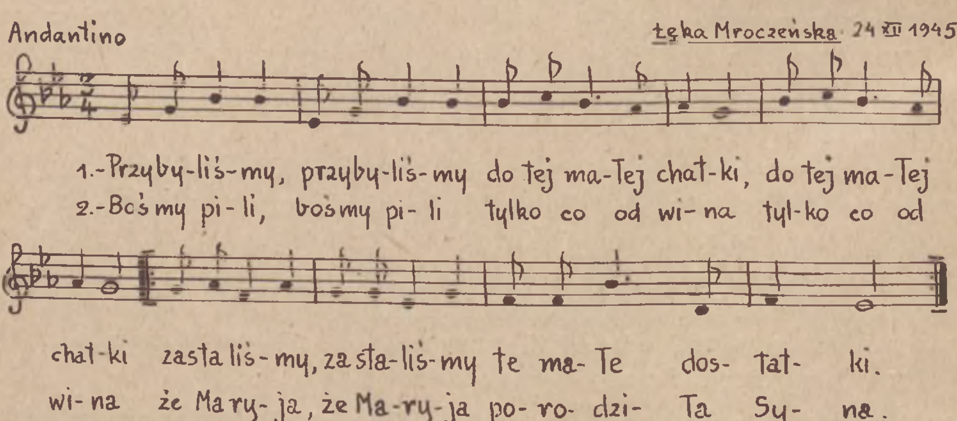
Herod: Ach, sługo mój najmilejszy! Doszła mię nowina, że się ma narodzić w Betlejem przedziwna Dziecina. Idźcie do Betlejem, wszystkich chłopaków do dwóch lat powycinajcie, nawet mojemu synaczkowi nie przepuszczajcie!

Sługa: Ja wolę króla proszę, na znak główkę dziecięcia przynoszę. Zatrzymaj się królu, bo przed tak wielkim zapałem, bo tu stoi śmierć przepowiedziana.

Śmierć: Jam śmierć jasnokoścista, mam kosę staloną — na ciebie się przyda. Na ciebie — okrutniku-królu! Siedem lat stalona, abym cię do tego majestatu wtrąciła. (ścina Herodowi łeb)

Diabeł: Br — br — br — już zdechł, już go nie ma. Ciało w ziemi, dusza w kieszeni. Florek — bierz pieniądze a ja worek.

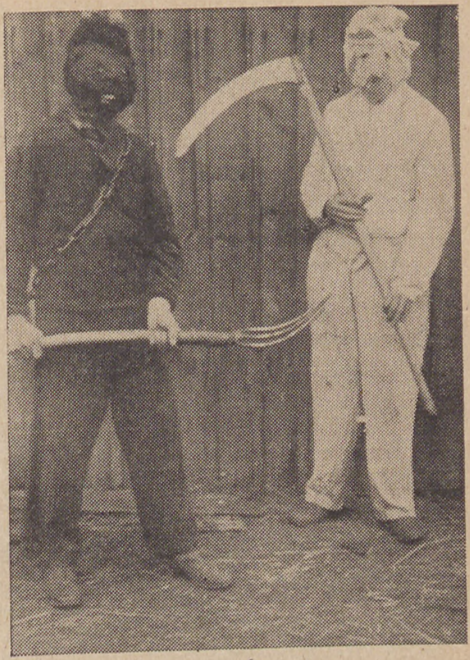
Diabeł po swej tyradzie goni obecnych, „murzy" dziewczyny usmolonymi rękami. Panuje powszechna wesołość, po czem wszyscy zebrani stoją w rzędzie i intonują kolędę. Śpiewają ją bez udziału Diabła, bo jakżeby? Melodia i słowa rzeczonej kolędy przedstawiają się jak następuje:



Melodia kolędy ma w sobie typowy zarys pośredniego ogniwa między właściwą kolędą a pastorałką. Ostatnie dwa takty są wiernym powtórzeniem siódmego i ósmego taktu „Mazurka Dąbrowskiego".



Herod i sługa



Diabeł i Śmierć

„Andrzeje" w Łęce Mroczeńskiej

„Andrzeje" mają przez siebie przygotowane kostiumy z kolorowych papierów. Rzecz charakterystyczna, że zaczęli chadzać ze swym prymitywnym przedstawieniem w ostatnim roku wojny, mimo szykan i zakazów miejscowej „władzy" niemieckiej. Stanowią przyczynek do poznania dawnego obyczaju Wielkopolski na terenie graniczącym bezpośrednio ze Śląskiem. Na dołączonych zdjęciach, które „na gorąco" wykonałem na miejscu — widać cztery postacie samorodnych aktorów. Herod trzyma na berle — krzyż (!), Sługa ma pierś obwieszoną orderami (z papieru), Diabeł straszy dzieci łancuchem piekielnym, a Śmierć białością swego kostiumu znakomicie kontrastuje z usmolonym, czarnym Diabłem. Ks. J. Janiszewski w swym „Powiecie kępińskim" (Kępno 1928) wspomina o podobnym obyczaju „straszków" we wsi Siemianice o 15 km na pd-wsch. od Łęki Mroczeńskiej. Chodzą po Wilji. Ciekawa to kraina, ów powiat kępiński. Zasługuje na żywsze zainteresowanie krajoznawców. Gdy pójdą w teren, znajdą skarby prawdziwie cenne. Wszystko tu pięknie i miłe. Krajobraz polodowcowy, badany niegdyś przez ś. p. profesora Stanisława Pawłowskiego — starodawny obyczaj, kryjący się po ustroniach wiejskich, liczne drewniane kościółki, ludzie dobrzy i prości, gościnni przy tym niezwykle... oto nieznany zakątek Wielkopolski. Sami nie wiemy, co posiadamy!

Dr Jan Baumgart

ZBIORY NAUKOWE POZNAŃSKIEGO TOWARZYSTWA PRZYJACIÓŁ NAUK W CZASIE OKUPACJI I STAN OBECNY

W ostatnim czasie społeczeństwo wielkopolskie zostało zaalarmowane kilku artykułami miejscowej prasy poznańskiej na temat ciężkiej sytuacji, w jakim znajdują się zbiory naukowe Poznańskiego Towarzystwa Przyjaciół Nauk. Wystarczy wskazać na artykuł Jana Brzeskiego w „Głosie Wielkopolskim" (Nr. 205 z dnia 28 VII. 1946), ażeby docenić w całej pełni troski o wartości kulturalne, na jakie narażone są przez niewłaściwe ich magazynowanie.

Wiadomo, że zbiory te mieściły się w gmachu Towarzystwa Przyjaciół Nauk przy ul. Sew. Mielżyńskiego 26/27. Towarzystwo jako jedyne ognisko życia umysłowego Wielkopolski w czasie rozbiorów stało się w odrodzonej Polsce bardzo poważną placówką ruchu naukowo-wydawniczego.

Poza działalnością ściśle naukową i wydawniczą Towarzystwo to gromadziło, opracowywało i udostępniało nie tylko członkom, ale i szerszej publiczności swoje zbiory. Chodziło tu o zbiory prehistoryczne. jakie do dziś dnia zachowały się w Muzeum Prehistorycznym, o zbiory numizmatyczne i artystyczne (galeria obrazów im. Mielżyńskich), których zaledwie część ocalała w Muzeum Wielkopolskim, i wreszcie o zbiory, które wchodziły w skład Biblioteki Poznańskiego Towarzystwa Przyjaciół Nauk, a więc książki, rękopisy, zbiory muzyczne, kartograficzne, muzealia oraz pamiątki po Kraszewskim.

Alarm prasy poznańskiej dotyczył przede wszystkim zbiorów naukowych, bibliotecznych. Biblioteka powołana do życia bezpośrednio po rozpoczęciu działalności naukowej Towarzystwa, powstała z różnych cennych mniejszych bibliotek, przeważnie zaofiarowanych na rzecz Towarzystwa. Podstawę jej stanowił przejęty w roku 1858 księgozbiór Kasyna Gostyńskiego (założonego w roku 1835), uzupełniony darami różnych zasłużonych osobistości. Wystarczy wymienić dar Seweryna Mielżyńskiego (księgozbiór własny liczący 5000 wol. i zbiory kartograficzne Rastawieckiego) oraz najcenniejszy ks. prałata Koźmiana (8300 dzieł). Wartość Biblioteki powiększały posiadane zbiory specjalne, jak starych druków, kartografii,muzykalii i przede wszystkim cennych rękopisów bibliotecznych (literackich), jak również typu archiwalnego. Pomieszczenie miały także archiwa rodzinne Łuszczewskich, Karśnickich i rydzyńskie Sułkowskich.

Z chwilą odzyskania niepodległości Poznańskie Towarzystwo Przyjaciół Nauk znacznie rozszerzyło swoją działalność tak naukową jak i wydawniczą (zob. katalog wydawnictw Poznańskiego Towarzystwa

Przyjaciół Nauk. Poznań 1938, Str. 55). Wzrosły także jego zbiory, udostępniane w szerszym zakresie pracownikom naukowym oraz polskiej młodzieży studiującej. Towarzystwo Przyjaciół Nauk stanowiło wybitny ośrodek kulturalny Wielkopolski.

Stan zbiorów wynosił w dniu 31 sierpnia 1939 roku 141.343 wol. druków, 1912 rękopisów, 1492 atlasów i map i 1330 nut. Podkreślić trzeba, że w obrębie zbiorów znajdowało się 161 inkunabułów, 417 polskich dru-



Wejście do Biblioteki Towarzystwa Przyjaciół Nauk w Poznaniu

ków XVI wieku; wśród rękopisów było 473 dyplomów (także pergaminowe), 631 autografów, wśród zbiorów kartograficznych mieściło się 51 przeważnie starszych atlasów oraz dużo cennych map, nawet z XVI wieku. W Bibliotece także znajdował się zbiór pamiątek po Kraszewskim (338 przedmiotów), które otrzymawszy w darze od społeczeństwa polskiego w roku jubileuszowym (1879) zaofiarował na rzecz Towarzystwa.

Świetny rozwój Towarzystwa Przyjaciół Nauk uległ zahamowaniu z chwilą wybuchu drugiej wojny światowej. Choć działania wojenne

roku 1939 nie dotknęły bezpośrednio zbiorów, okupant niemiecki przystąpił świadomie i celowo do ich niszczenia.

Biblioteka T.P.N. została najpierw zamknięta i opieczętowana (13. IX. 1939). 13 grudnia 1939 wyszło zarządzenie, podpisane przez Greisera, w sprawie zabezpieczenia zbiorów, które w rzeczywistości spowodowało zniszczenie polskich księgozbiorów. Chociaż na podstawie zarządzenia jedyną instytucją do zabezpieczania zbiorów miała być „Buchsammelstelle", to w praktyce w kompetencję wkraczały i inne komórki urzędowe, zabierając sobie to, co im odpowiadało lub co im się podobało.

Ofiarą najprzód grabieży, a potem likwidacji padły także zbiory Poznańskiego Towarzystwa Przyjaciół Nauk. Pierwszym, który samowolnie postępował i zabierał, był dr Siegfried Rühle, ówczesny dyrektor Muzeum. Zabrano zbiory kartograficzne, zniszczono większość pamiątek po Kraszewskim, wybierano wydawnictwa ogólno- naukowe, książki i czasopisma dotyczące Wielkopolski oraz prehistorii i sztuki. Przeciwko samowoli Rühlego wystąpił dr Alfred Lattermann, ówczesny dyrektor Biblioteki Uniwersyteckiej, uważając się za najbardziej powołanego do objęcia całej Biblioteki Towarzystwa, stojącej od roku 1919 pod zarządem Dyrekcji Biblioteki Uniwersyteckiej. Na to Rühle w memoriale, skierowanym do namiestnika Greisera, chciał pomniejszyć wartość i znaczenie zbiorów, pisząc, że chodzi tu o małą bibliotekę „eines polnischen Vereins". Pismo to drogą okrężną przez Kuratora Uniwersytetu doszło do Dyrekcji Biblioteki Uniwersyteckiej do zaopiniowania. W odpowiedzi na to Lattermann przygotował memoriał w sprawie wartości księgozbioru T.P.N., wskazując między innymi na bogate piśmiennictwo w języku niepolskim.

Sprawa losu zbiorów poszła w ten sposób w odroczenie. Wreszcie zwołano na dzień 29 lipca 1940 roku zebranie, na którym miała zapaść ostateczna decyzja odnośnie zbiorów naukowych Towarzystwa. Na zebraniu tym byli obecni przedstawiciele Starostwa Krajowego (Landeshauptamt), Muzeum, Archiwum, Biblioteki Raczyńskich, Miejskiej i Uniwersyteckiej.

Cel oświetlił przewodniczący, generalny pełnomocnik dla zabezpieczania niemieckiego mienia kulturalnego, SS-Hauptsturmführer prof. dr Hans Schleif. Jaki był stosunek jego do Biblioteki, wystarczy przytoczyć słowa, jakich użył w przemówieniu wstępnym. Oświadczył on wyraźnie, że „ma prawo bibliotekę spalić, zniszczyć, oddać na makulaturę, albo sprezentować. Jeśli więc ktoś przyjdzie z dokumentem urzędowym jakiejś władzy niemieckiej, to mogę spełnić jego życzenie i trochę książek mu potrzebnych odstąpić". W czasie konferencji przedstawiciel Biblioteki Uniwersyteckiej dr Hans Meyer oświadczył, że jest gotów

przejąć całą bibliotekę dla celów naukowych Biblioteki Uniwersyteckiej, co początkowo nie wywołało specjalnego sprzeciwu.

W istocie też po uzyskaniu nazajutrz odpowiedniego pomieszczenia na przejęcie tak poważnego zbioru, rozpoczęto dnia 31 lipca prace transportowe. Dzięki mojej obecności (w tym czasie byłem jeszcze pracownikiem Biblioteki Uniwersyteckiej) załadowano najcenniejsze rzeczy, rękopisy biblioteczne, część starych druków, najważniejsze akta, oraz katalogi. Rękopisy typu archiwalnego zabrało Archiwum Państwowe. W trakcie jednak pracy zostałem krótko po godzinie 10 telefonicznie odwołany, a bezpośrednio potem przerwano całą pracę. Tylko rzeczy już załadowane na platformę, przewieziono do Biblioteki Uniwersyteckiej, gdzie też szczęśliwie ocalały.

Było rzeczą jasną, że komuś zależało na tym, ażeby nie dopuścić do zachowania całości zbiorów, co mogło byłoby nastąpić, gdyby w całości przejęła je Biblioteka Uniwersytecka. Tymczasem dopiero po moim powrocie do Poznania w marcu 1945 roku miałem możność sprawdzić, że przerwanie prac spowodował bezpośrednio p. Bartels ze Starostwa Krajowego, a więc czynnik zwierzchni Muzeum. Wybrano inną drogę, a mianowicie likwidację zbiorów przez rozpraszanie z tym, że wolno było Bibliotece Uniwersyteckiej wybierać, jako ostatniej.

Wszelkie wydawnictwa — nakłady Towarzystwa Przyjaciół Nauk — zostały przekazane do fabryki papieru w Czerwonaku. Przedstawiciele fabryk spie ali się już tylko o to, czy tona ma kosztować 25 czy 30 maiek. Nikogo nie obchodziły wartościowe prace naukowe, których zachowano zaledwie po kilka egzemplarzy każdego wydawnictwa, przekazując je do Biblioteki Uniwersyteckiej, która je obecnie zwróciła Towarzystwu.

Wielkie wydawnictwa źródłowe i biblioteka podręczna przeszły do Archiwum Państwowego. Tam też skierowano oprócz rękopisów typu archiwalnego, cenne archiwa Sułkowskich, Łuszczewskich i Karśnickich, mało jeszcze wykorzystane przez naukę polską. Część książek zabrała Biblioteka Raczyńskich, Biblioteka Miejska oraz Biblioteka Starostwa Krajowego. Czy i ile książek wybrano do Rzeszy, trudno sprawdzić. Wiadomo tylko, że pracowali studenci z Gryfii pod kierunkiem pewnego profesora, którzy na początku wykonywali syzyfową pracę ustawiania księgozbioru z numerus currens na układ rzeczowy rzekomo dla lepszej parcelacji, co wywołało oburzenie zawodowych bibliotekarzy niemieckich. W dodatku prace te wykonywali ze słownikiem polsko-niemieckim w ręku. Przy parcelowaniu księgozbioru na końcu główny zrąb ilościowy jeszcze dość pokaźny objęła Biblioteka Uniwersytecka, wywożąc książki na strych Colegium Marcinkowskiego na Górną Wildę.

Parcelacja została ukończona dnia 30 października 1940 roku. Kiedy w tym dniu służbowo byłem po raz ostatni w Bibliotece, zastałem już tylko ruiny księgozbioru. Znalazłem jeszcze pewne akta biblioteczne, szereg książek, rozrzuconych na ziemi, np. drugi tom Mickiewicza „Pan Tadeusz", wydanie paryskie z roku 1834, dalej kilka pudeł z rękopisami i niektóre rękopisy, będące w druku (np. pracę później straconego dra Rolbieckiego). Resztki te przewieziono do Biblioteki Uniwersyteckiej.

Całe wewnętrzne urządzenie biblioteki zniszczono całkowicie. Lokale zostały częściowo zajęte na rzecz zbiorów prehistorycznych i częściowo przez niemiecki żłóbek dziecięcy.

Jak już wspomniałem, najcenniejsze zbiory Biblioteki Poznańskiego Towarzystwa Przyjaciół Nauk uległy parcelacji i rozproszeniu, a ilościowo największy zbiór przekazano Bibliotece Uniwersyteckiej w Poznaniu. Z braku odpowiedniego lokalu pomieszczono je tymczasowo w Colegium Marcinkowskiego, skąd na żądanie niemieckich władz wojskowych musiały być dalej przewiezione do kościoła św. Małgorzaty na Śródce. Uczyniono to w marcu 1942 roku samochodami wojskowymi przy pomocy jeńców angielskich.

Kościół św. Małgorzaty, zajęty dnia 8. I. 1942 i obrócony na magazyn książek, stał się schroniskiem książek polskich. Dowieziono tam również książki, wydzielone z głównej składnicy przy ul. Stolarskiej.

Natomiast przywiezione do Biblioteki Uniwersyteckiej katalogi oraz księgi inwentarzowe zostały wraz z ewakuowanymi zbiorami bibliotecznymi przemieszczone do kościoła św. Stanisława na Winiary (w maju 1944). Niemcy w obawie przed nalotami na miasto Poznań, przenieśli tam masę książek, przede wszystkim zbiory prasy starszej, podobnie jak do Smogulca i do Kórnika wywieźli kilkaset skrzyń ze zbiorów uniwersyteckich, uważając te miejsca za bardziej bezpieczne dla zbiorów.

Nadszedł okres walk o Poznań. Podczas gdy kościół św. Małgorzaty zasadniczo ocalał a znajdujący się na miejscu ks. prof. dr Józef Nowacki umiał od razu roztoczyć opiekę nad całością zbiorów, to w znacznie gorszym położeniu znalazł się kościół św. Stanisława na Winiarach, gdzie straty powiększone zostały przez ludność, nie mającą dostatecznego zrozumienia dla wartości kulturalnej złożonych tam zbiorów. Tej okoliczności też przypisać należy, że nie odnalazły się już wszystkie kartki katalogu i inwentarze Biblioteki. Uległy tam również częściowemu zniszczeniu niektóre starsze roczniki gazet poznańskich.

Straty Biblioteki Poznańskiego Towarzystwa Przyjaciół Nauk są poważne. Obecne położenie zaś jest do pewnego stopnia tragiczne, wziąwszy pod uwagę kompletne zniszczenie urządzenia wewnętrzego. Chociaż uszkodzony gmach został już naprawiony, to jednakowoż niemożność urządzenia biblioteki, utrata zbiorów specjalnych, w szczegól-

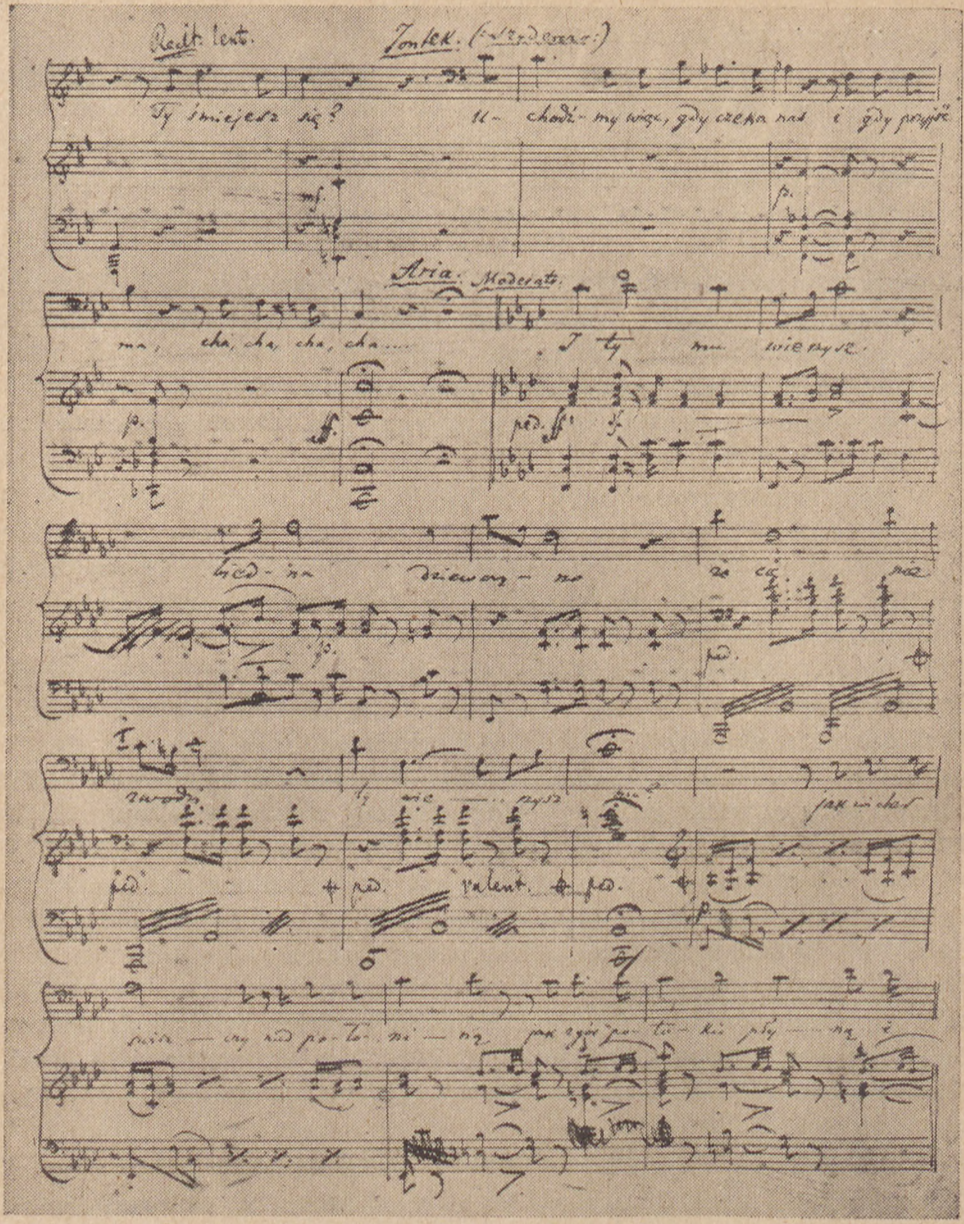
ności rękopisów, utrata wielu cennych wydawnictw przez rozproszenie, wpływa hamująco na odbudowę.

Jako podstawa służy uratowana część księgozbioru, zwieziona w ciągu listopada i grudnia 1945 roku, w liczbie około 75.000 wol. na 36 wozach do starego gmachu. Naturalnie stan konserwacji zbiorów nie mógł być zadowalający, był dla pewnych partyj książek wręcz fatalny. Największym szkodnikiem książki okazała się wilgoć w kociele św. Małgorzaty, która też spowodowała zniszczenie kilkuset książek. Inne udało się przynajmniej częściowo uratować od ostatecznej zagłady. Z braku regałów nie można było książek złożyć na półki, ale na podłogę w wielkie stosy. Rozpoczęto długą i mozolną pracę konserwacyjną. W ciągu lata 1946 roku książki odczyszczono i wysuszono. Te same zabiegi stosuje się do zachowanych kartek katalogowych. Ostatnie zaczęto już szeregować alfabetycznie.

W międzyczasie przewieziono też książki, jakie zachowały się w Muzeum Wielkopolskim (339 wol.). Wróciło 37 dzieł w 72 wol. z zakresu sztuki, własność T. P. N., wywiezionych przez Niemców pod Drezno, skąd via Moskwa powróciły do Poznania. Sporo książek wróciło z Muzeum Prehistorycznego (893 wol. i 40 map), z Biblioteki Uniwersyteckiej (1207 wol.). Również pewna ilość cenniejszych książek, jakie owego czasu zabrała Bilioteka Raczyńskich, wróciła obecnie przez Publiczną Bibliotekę Miejską (ok. 3365 wol.), (wydawnictwa wywiezione w obawie przed nalotami do Obrzycka). Tą drogą Biblioteka otrzymała ok. 2000 odezw, mów sejmowych, manifestów, broszur z drugiej połowy XVIII i początku XIX wieku. Ocalało też około 1000 wol. druków XVI i XVII wieku. Od czasu do czasu wpływają też pewne zbiory via Archiwum Państwowe (narazie 99 wol.), skąd powróciły roczniki Gazety Prus Południowych, Gazety Poznańskiej, Przyjaciela Ludu i zbiór odezw z roku 1848. Niestety, bogaty zbiór rękopisów archiwalnych, w tym także archiwa rodzinne Łuszczewskich, Karśnickich i Sułkowskich, wiele książek, zabranych przez Archiwum Państwowe (także biblioteka podręczna Poznańskiego Towarzystwa Przyjaciół Nauk) spłonęło w murach Archiwum w czasie walk o Poznań.

Ze zbiorów specjalnych, wywiezionych do Smogulca, ocalało szereg inkunabułów (na razie 90 wol.) i kilka rękopisów. Wśród ostatnich na szczęście ocalał jeden z najcenniejszych, oznaczony nr 228 autograf Halki Stanisława Moniuszki, oprawny w piękną wiśniową skórę. Rękopis ten podarowany przez autora (około roku 1860) Achillesowi Bonoldiemu, dostał się drowi Janowi Karłowiczowi w roku 1873, który ofiarował go Towarzystwu Przyjaciół Nauk w Poznaniu.

Istnieje słaba nadzieja, że może znajdą się jeszcze pewne rzeczy, jednakowoż liczne niepowetowane straty nie dadzą się żadnym odszko-



Manuskrypt „Halki" St. Moniuszki
z słynną arią Jontka: „I ty mu wierzysz..."

dowaniem zapłacić. Rekopisów już nikt nie zwróci, archiwalia przepadły już raz na zawsze, zbiory kartograficzne także w całości nie wrócą (część ich była w Archiwum, część w Bibliotece Raczyńskich, skąd dotarła do utworzonego w czasie okupacji Archiwum Miejskiego), a o zbiorach muzycznych nie pozostało ani śladu.

Biblioteka Poznańskiego Towarzystwa Przyjaciół Nauk, jeśli chodzi o druki, posiadała przede wszystkim cenne wydawnictwa starsze, między nimi liczne polskie druki XVI i XVII wieku. Pod tym względem stanowiła ona niezmiernie cenne dopełnienie zbiorów Biblioteki Uniwersyteckiej. Była ona dla badaczy dobrym warsztatem pracy naukowej. Okupant niemiecki wyrządził nauce i kulturze polskiej ogromną szkodę.

W obecnej odbudowie trzeba było rozpoczynać od gmachu. Odrestaurowano mury, oszklono lokale, przywrócono pokoje do stanu używalności. Należałoby odbudować i wewnętrzne urządzenie, bez którego księgozbiór staje się zwyczajną składnicą książek, martwym kapitałem, nieużytecznym dla pracowników naukowych. Na to trzeba większych środków finansowych. Zwrócono się o zasiłki, uczyniono zapotrzebowanie do Mieszanej Komisji Odszkodowań, a tymczasem czas nagli, bo księgozbiór nie może spełnić roli, do jakiej jest powołany. Potrzeba tu odpowiedniej ilości regałów na magazyn, urządzenia na czytelnię, pracownię, urządzenia biurowe. Sam koszt regałów żelaznych na umieszczenie na razie 80.000 wol. wynosi według złożonych ofert 1.275.000 zł. Z braku środków trzeba było uciec się do skromnego zamówienia małej liczby metrażu półek drewnianych, co oczywiście nie może rozwiązać problemu.

Dlatego też odbudowa Biblioteki Poznańskiego Towarzystwa Przyjaciół Nauk, dla nauki polskiej tak pilna i potrzebna, uzależniona jest od uzyskania odpowiednich funduszów. Luka ta w nauce polskiej jest tym dotkliwsza, że ocalałe 60% zbiorów nie może być udostępnione pracownikom naukowym. Jeśli zaś istnieją pracownicy naukowi, którzy już w obecnych warunkach korzystają z jej zbiorów, to dzieje się to dzięki wielkiemu wysiłkowi personelu bibliotecznego i w dużej mierze dzięki przypadkowi w odnalezieniu takiego czy innego wydawnictwa.

Stąd alarm prasy poznańskiej był słuszny i uzasadniony. Z ciężkiego położenia zdają sobie sprawę w całej pełni tak Zarząd Poznańskiego Towarzystwa Przyjaciół Nauk, jak i kierownictwo Biblioteki. Jest nadzieja, że dzięki staraniom i zasiłkom Ministerstwa Oświaty zajaśnieje lepsza przyszłość i dla tej tak ważnej i potrzebnej placówki naukowej.

Mgr Jan Reychman — Warszawa

WALERY ELJASZ A WIELKOPOLSKA

Dla szerszej publiczności Walery Eljasz Radzikowski (1840—1905) pozostał przede wszystkim autorem słynnych przewodników po Tatrach, czerwonych tomików, których wartość jest dziś już tylko historyczna, ale które dla szeregu pokoleń były nieodstępnym „vade mecum" przy pierwszych wycieczkach w Tatry. Ale poza tym Walery Eljasz znany nam jest jako malarz, a przede wszystkim ilustrator, poza tym był on wszakże i historykiem kultury, wreszcie i wybitnym patriotą, działaczem społecznym, biorącym żywy udział w rozmaitych ogólnonarodowych pracach tego okresu i utrzymującym kontakt z wieloma współczesnymi sobie wybitnymi Polakami.

Rzecz ciekawa, że ten krakowianin i miłośnik Tatr, zamykający ramy swego życia wąskim odcinkiem Kraków—Zakopane dziwnie silnymi związany był węzłami z daleką sobie Wielkopolską. W jego korespondencji, wydobytej przez miłośnika Tatr dr. W. Paryskiego, złożonej w Muzeum Tatrzańskim w Zakopanem i uporządkowanej z grubsza w czasie pierwszej zimy okupacyjnej 1939/40. Warszawa reprezentowana jest paroma liścikami Chałubińskiego czy jakimiś administracyjnymi sprawami redakcji „Kłosów", ze Lwowa jest kilka listów od posła ludowego Lewakowskiego, natomiast dziwnie obfita jest ilość korespondencji wielkopolskiej. Skąd te związki zacnego autora tatrzańskich baedeckerów z tak pozornie odległą wielkopolską ziemią?

U źródeł leży tu niechybnie bliższa zażyłość Eljasza z J. I. Kraszewskim zadzierzgnięta jeszcze w czasie pobytu Eljasza na studiach zagranicą i jego podróży artystycznej po Europie w 1865 r. Kraszewski w tym czasie mieszkający w Dreźnie utrzymywał specjalnie żywy kontakt z Wielkopolską, stamtąd czerpał większość współpracowników i prenumeratorów do swych pism drezdeńskich, interesował się też bliżej życiem Wielkopolski, której poświęcił w pismach swych z tego okresu szereg pochlebnych uwag.

W r. 1866 odbył Kraszewski wycieczkę w Tatry wspólnie z Walerym Eljaszem.[1]) Być może, że już wtedy powstała myśl ułożenia przewodnika po Tatrach, w każdym razie Kraszewski w realizacji wydania tego przewodnika odegrał dużą rolę, nietylko, że zachęcał do jego opracowania, ale podjął się jego drukowania we własnej, kupionej od Zorna właśnie też w Poznaniu drukarni, przeniesionej do Drezna,[2]) oraz pośredniczył przy znalezieniu nakładcy, którym został znany wydawca i księgarz poznański Żupański.[3])

Przewodnik rzeczywiście wyszedł nakładem Żupańskiego, z rycinami własnymi Walerego Eljasza, w drukarni Kraszewskiego w Dreznie w roku

1869. Poznańskie to wydawnictwo zwróciło uwagę na autora nie tylko jako pisarza, ale i ilustratora, co wobec wzmagającego się w Wielkopolsce ruchu wydawniczego miało duże znaczenie. Rychło też nawiązał Eljasz kontakt z wieloma wielkopolskimi wydawcami, a przede wszystkim z wydawcą, nauczycielem, działaczem społecznym, autorem, redaktorem w jednej osobie, niezapomnianym Józefem Chociszewskim. On pierwszy zaraz po wyjściu z druku przewodnika zwrócił się do nieznanego mu jeszcze wtedy osobiście Eljasza, gratulując mu „pięknej, serdecznej książki", którą zaraz też wykorzystał: „Udzielam tu na pensji p. Estkowskiej" — pisze Chociszewski — „języka polskiego oraz jeografii — z książki Pana poznajomiłem panny z Tatrami, a ucieszyłem się wielce, gdy nader ładnie opracowały Opis podróży w Karpaty, który jako ćwiczenie zadałem"[4]). Rychło ta znajomość przeszła w długoletnią zażyłość a korespondencja Eljasza z Chociszewskim trwająca przeszło 35 lat nie ograniczała się do samych tylko zagadnień wydawniczych, obejmując też szereg ogólnych zagadnień narodowych i społecznych.

Chociszewski prowadził rozległą działalność wydawniczą i Eljasz wykonał mu ilustracje przede wszystkim do „Dziejów Narodu Polskiego", następnie do „Piśmiennictwa polskiego w życiorysach naszych znakomitych pisarzy", do rozmaitych opisów Polski, książeczki o Kościuszce i wielu innych popularnych dziełek, poza tym wykonał mapę Polski do „Przyjaciela Dzieci", winietę tytułową do wydawanego przez Chociszewskiego pisma „Lech". Osobno Chociszewski wydał jako reprodukcję obraz Eljasza „Męczennicy na Podlasiu". Nieraz Eljasz krytykował wydawnictwa Chociszewskiego, ale to bynajmniej nie psuło wzajemnych stosunków, które utrzymały się, kiedy Chociszewski przeniósł się do Inowrocławia.[5])

Poza Chociszewskim i inni wydawcy poznańscy chcą mieć rysunki popularnego już krakowskiego artysty. St. Wegner pisze 28 lutego 1878, że chce do spółki z firmą N. Kamieński wydać album J. I. Kraszewskiego prosi więc Eljasza o pomoc przy ilustracjach.[6]) Bolesław Twardowski w liście z 20 października 1884 prosi o narysowanie winiety tytułowej do projektowanego pisma „Prawdą a Bogiem", która ma przedstawiać „kościołek wiejski na pierwszym planie, może ludzi idących do kościoła, w dali na drugim planie może chatki wieśniacze, plebanię z księdzem"[7]). Eljasz był też jednym z ilustratorów do wydanego przez tegoż Twardowskiego, album „Wojsko polskie Kościuszki z r. 1794" (Poznań 1894). ilustrował też wydawnictwa Twardowskiego „Kościuszko w r. 1794" i „Tadeusz Kościuszko — Jego żywot i czyny" (Poznań 1894). Równie blizkie były stosunki Eljasza z innym współczesnym księgarzem i wydawcą poznańskim K. Kozłowskim, u którego Eljasz ilustrował — wespół z paroma innymi artystami — „Album wojsk polskich z r. 1831"

(Poznań 1886). Do dziełka „Geografia krain dawnej Polski" Kozłowski prosił Eljasza o wypożyczenie paru klisz z Tatr i Podhala[8]).

Rychło też popularność Eljasza w Wielkopolsce rośnie a jego nazwisko jest coraz bardziej znane. Imieniem „Tygodnika Wielkopolskiego" zaraz po wyjściu pierwszego poznańskiego wydania jego przewodnika zwracają się doń Klemens Kantecki, Władysław Ordon i Władysław Bełza i Edward Callier, z prośbą aby zechciał narysować winietę tytułową do „Tygodnika", uprzedzając go, że „szczupłość funduszów z którymi występujemy nie pozwala nam honorować rysunku winietki tytułowej, która nam jest konieczną. Winietka ta ma przedstawiać Poznań z punktu obranego przez Pana..."[9])

Swe znajomości poznańskie wykorzystał Eljasz dla umieszczania tam swych prac literacko-historycznych; tam w Poznaniu, wydał swą pracę „Korony królów polskich" (1899). Był to okres gdy Eljasz interesował się insygniami koronnymi, koronami, skarbcem itd. Były to sprawy dość wówczas modne, właśnie o tym pisano (Kopera, Sadowski), poza tym plotka stugębna wciąż głosiła o rzekomym przechowywaniu gdzieś prawdziwych insygniów koronnych, o czym w wielkiej tajemnicy wie tylko kilka osób specjalnie wybranych. Eljasz pozostawał w stosunkach z wieloma osobistościami odgrywającymi w ówczesnym życiu narodowym role „szarych eminencyj" (np. z ojcem Wacławem Kapucynem), sam brał udział w wielu narodowych przedsięwzięciach międzyzaborowych, lubił też otaczać się tajemniczością, tak żeby niby to przebąkiwano, że i „on o tym coś wie". Z drugiej znów strony malarstwo historyczne w tym okresie lubiło bawić się w zainteresowania do historii drobiazgów artystycznych, zbroi, koron, insygniów, broni, strojów, uprzęży itd. Eljasz nawiązał kontakt z również interesującym się zagadnieniami insygniów koronnych, koron, broni, kurków etc., zacnym lekarzem a przy tym zamiłowanym archeologiem i miłośnikiem starożytności autorem „Albumu zabytków przedhistorycznych", „Dawnych cechów i bractw strzeleckich w Kościanie" dr. K. Koehlerem (1840—1901)[10]), z którym sobie wymieniali w korespondencji wiele szczegółów erudycyjnych. Na wydział historyczno-literacki Towarzystwa Przyjaciół Nauk w Poznaniu zgłosił Eljasz rozprawę o Szczerbcu, w której poddał krytyce wnioski Sadowskiego z jego rozprawy na ten sam temat; rozprawę Eljasza czytał Koehler na posiedzieniu z 24 maja 1897. „Wszystkich b. interesowało" — donosił potem w kartce Eljaszowi poznański lekarz-archeolog[11]).

Obok tego Eljasz pisywał i do pism poznańskich: tutaj na łamach poznańskiego „Dwutygodnika dla kobiet" ukazał się jego ciekawy, na zebranych przez siebie na miejscu wspomnieniach uczestników oparty artykuł o powstaniu chochołowskim (1884), tak dziś aktualny wobec rocznicy powstania chochołowskiego i braku literatury na ten temat.

Kontakty Walerego Eljasza z Wielkopolską były więc b. szerokie. Galerii Mielżyńskich ofiarował w r. 1878 obraz „Twardowski zmusza diabła do zanurzenia się w kropielnicy"[12]). Gdy w r. 1889 poznańskie Towarzystwo Sztuk Pięknych wezwało artystów z całej Polski do nadsyłania swych dzieł dla poparcia tej placówki, nie omieszkał Eljasz ofiarować swego dzieła „Sieroctwo matki Jagiellonów". Z prezesem Towarzystwa hr Engeströmem pozostawał w stałej korespondencji[13]). Ścisła zażyłość łączyła go z późniejszym arcybiskupem Stablewskim, miłośnikiem Tatr i stałym bywalcem Zakopanego, dla którego Eljasz wyszukiwał mieszkanie w Zakopanem, z E. Callierem, który mu przesłał potrzebne do jakiegoś albumu wzory mundurów powstańców poznańskich, ochotników z 1863 r., z Hieronimem Feldmanowskim (1823—1885) sekretarzem Towarzystwa Przyjaciół Nauk w Poznaniu i tłumaczem pieśni jugosłowiańskich.

Jakie były przyczyny tak ścisłych związków Eljasza właśnie z Wielkopolską? Z jednej strony dużą rolę odegrało wprowadzenie go przez Kraszewskiego do Żupańskiego i nawiązane przez to stosunki z poznańskim światem wydawców i księgarzy. Stosunki te ułożyły się dobrze. O ile nawet inne stosunki wydawnicze czy handlowe Eljasza nie zawsze dla niego układały się pomyślnie o tyle na Wielkopolan się nie skarżył. Oparcie tych stosunków na realnych kupieckich podstawach i ich rzetelność odpowiadały Eljaszowi borykającemu się wtedy z trudnościami materialnymi. Z drugiej znów strony w Wielkopolsce, przy dużym rozwoju oświaty i czytelnictwa, zapotrzebowanie na ilustracje dla popularnych wydawnictw — co było właśnie „genre" Eljasza — było stale większe niż w Krakowie, gdzie lubowano się jeszcze w dostojnych elitarnych, poważnych wydawnictwach; stąd większe wzięcie Eljasza w Wielkopolsce co odpowiadało jego ambicjom. Miał on zresztą rozmaite żale do Krakowa. Uważał się za niedocenionego wielkiego artystę malarza historycznego, niesłusznie pomijanego przez zazdrosną opinię krakowską na rzecz takiego Matejki czy Kossaka. Uznanie jakie miał w Wielkopolsce mile go usposabiało do tej dzielnicy.

Zresztą sentyment ten płynął i z ogólnonarodowych przesłanek. Waleremu Eljaszowi, patriocie czynnemu odpowiadał typ życia narodowego właśnie w Wielkopolsce, gdzie życie miało charakter ciągłej walki na eksponowanym odcinku o każdą placówkę. Gdy w r. 1901 Bernard Chrzanowski wybrany został do parlamentu, Walery Eljasz przesłał mu gratulacje, na które Chrzanowski odpowiedział, że wśród przesłanych mu życzeń „do najmilszych zaliczyłem list czcigodnego Pana", dziękując mu równocześnie za „miłość jaką otacza tę biedną a ukochaną wielkopolską ziemię[14]). W r. 1867 zresztą bawił Eljasz przelotnie w Poznaniu (z Kra-

szewskim²), w 1871 nosił się z zamiarem przeniesienia tamże, tamteż wydał za mąż swą córkę.

Wielkopolska zawdzięcza Eljaszowi wiele, zawdzięcza mu ilustracje do swych popularnych wydawnictw, zawdzięcza wiele prac artystycznych nieraz bezinteresownie, z poczucia obowiązku względem najbardziej narażonej na napór wojującej niemczyzny dzielnicy, oddawanych. Ale Eljasz zawdzięcza Wielkopolsce nie mniej, zawdzięcza jej w dużej mierze to, że jego prace, chociaż te drobne „zawędrowały pod strzechy". Albowiem, mimo swych ambicyj, nie został Eljasz wielkim malarzem historycznym na miarę Matejki. O jego obrazach rychło zapomniano. Do potomności — obok autorstwa przewodników po Tatrach — przeszedł Eljasz jako grafik, jako ilustrator. I tu, obok jego nieśmiertelnych rycinek tatrzańskich, najbardziej może spopularyzowały się jego obrazki w popularnych wielkopolskich wydawnictwach. Ileż pokoleń polskich wychowało się na ilustrowanych przez Eljasza „Dziejach Polski" Chociszewskiego! Dla iluż chłopców od lat najmłodszych — a należał do nich i autor słów niniejszych — powstanie kościuszkowskie kojarzyło się z barwnymi mundurami powstańców na ilustracjach Eljasza do poznańskiego albumu powstania Kościuszki! Ale rekord pobiło Chociszewskiego „Dzieje Narodu Polskiego" i „Mała Historia Polski", które tak w Poznaniu, jak i w Ameryce aż do czasów najnowszych wciąż wychodziły w nowych wydaniach zatrzymując stale eljaszowe ilustracje. Nie tylko więc tu w kraju, ale i tam w Ameryce nowe pokolenia uczą się dziejów polskich na Eljasza obrazkach, utrwalając te związki miłośnika Tatr i szczerego patrioty z „biedną i kochaną wielkopolską ziemią".

---

¹) W r. 1866 przy 1867 Chmielowski („Józef Ignacy Kraszewski", Warszawa 1888, str. 354) podaje rok 1867 łącząc to z podróżą Kraszewskiego do Wielkopolski (o niej Kalendarz Poznański z 1879 i „Praca" nr 30 z 1912) oraz do Galicji (por. Frąckiewicz N. „J. I. Kraszewski we Lwowie i Krakowie w r. 1867", Kraków 1912). Ale sam Kraszewski w opisie swej wycieczki w „Kłosach" nr 167 z 1868 pisze, że wycieczka odbyła się w 1866. Zresztą rysunek Kraszewskiego przedstawiający szczyt górski, wyraźnie tatrzański, ogłoszony w „Pracy" poznańskiej z 1912 nr 16 posiada datę 1866. Przez pomyłkę myślano przez pewien czas, że Kraszewski był w Tatrach w 1863 (omyłkę tę z tablicy pamiątkowej na domu przejął i Hoesick), co na rzecz 1866 roku sprostował niestrudzony historyk XIX-wiecznego Zakopanego dyr. Zborowski „1863 czy 1866 Przyczynek do pobytu Kraszewskiego w Zakopanem", Wierchy, t. XI (1933). Kraszewski był ok. 1863 r. w górach, ale nie w Tatrach, lecz w Alpach, uczynił też mało znaną wycieczkę na Mont Blanc.

²) Por. Pamiątka drukarni J. I. Kraszewskiego w Dreźnie, 1871, oraz Ostdeutsche Zeitung 1871, 228. Kraszewski sprzedał potem tę drukarnię Łebińskiemu.

³) Listy Kraszewskiego z tego okresu w sprawie przewodnika w Bibl. Jagiell., kopie w zbiorach Eljaszów w Muz. Tatrz. Por. z listu H. Feldmanowskiego do W. Eljasza: „O pracy Waszej wiedziałem i sam słyszałem, że Żupański chętnie ją chciałby nabyć. O układach wiedziałem tylko z listu Kraszewskiego, który mi odczytał Żupański. Dzi-

siaj zapytałem go, jak stoi z tym wydawnictwem. Odpowiedział mi, że nabył rękopis i że się już drukuje w Dreźnie u Kraszewskiego" [list z 19 lutego 1870 w zbiorach Eljaszów w Muz. Tatrz.]. Przewodnikom tatrzańskim Eljasza poświęcona jest osobna dłuższa moja rozprawa, dotychczas w rękopisie.

4) List Chociszewskiego do Eljasza z 1870, w zbiorach Eljaszów w Muz. Tatrz.

5) Stosunki Chociszewskiego z Eljaszem omawia w paru miejscach W. Sobkowiak, „Józef Chociszewski" (Gniezno 1937, str. 86—89 i 132) na zasadzie listów znajdujących się wtedy w Towarzystwie Przyjaciół Nauk i w moim posiadaniu. Po wyjściu tej książki, już w czasie minionej wojny znalazły się w zbiorach Eljaszów w Muzeum Tatrzańskim nowe, niewykorzystane partie listów Chociszewskiego do Eljasza. Charakterystyczne, że w r. 1901 Eljasz proponował znanemu mu z Zakopanego Władysławowi Zamoyskiemu, aby Chociszewskiego osadził w Kórniku, aby on mógł tam swobodnie oddać się działalności pisarskiej dla ludu, por. Sobkowiak 137—138.

6) List w zbiorach Eljaszów w Muz. Tatrzańskim w Zakopanem.

7) List w zbiorach Eljaszów.

8) List do W. Eljasza z 17 czerwca 1891 w zbiorach Eljaszów.

9) List z 11 października 1870.

10) O dr Koehlerze por. „Towarzystwo Przyjaciół Nauk w latach 1857—1927", Poznań 1927, 332—333.

11) Koehler do Eljasza 25 maja 1897 (Zbiory Eljaszów), por. „Towarzystwo Przyjaciół Nauk 1857—1927, str. 372 oraz Roczniki TPN. XXIV, zeszyt IV, 562—564.

12) Katalog der Gemälde Galerie, Poznań 1911, 51.

13) List Engeströma do Eljasza z 18 lutego 1889, w zbiorach Eljaszów.

14) List Chrzanowskiego do Eljasza z 21 lipca 1901, w zbiorach Eljaszów.

Stanisław Hebanowski — Stanisław Szczepański.

WACŁAW TARANCZEWSKI CZŁOWIEK I ARTYSTA

Prezydent miasta, mgr Stanisław Sroka, wręczając Wacławowi Taranczewskiemu art. malarzowi nagrodę literacko-artystyczną miasta Poznania za rok 1946 — nakreślił charakterystykę laureata, z której można przytoczyć kilka zasadniczych momentów.

Działalność Taranczewskiego wyraziła się przede wszystkim w jego pracy twórczej. Poza tym laureat zasłużył się szczególnie przy organizowaniu życia artystycznego miasta, tak przed wojną jak i obecnie, montując Okręgowy Związek Polskich Artystów Plastyków oraz Państwowy Instytut Sztuk Plastycznych. Ministerstwo Kultury i Sztuki doceniając poważne osiągnięcia szkoły, powierzyło Taranczewskiemu kierownictwo powstającej w Poznaniu Wyższej Szkoły Sztuk Plastycznych.

Taranczewski ma talent tworzenia atmosfery artystycznej. Życie kulturalne Poznania zawdzięcza mu dużo, a o wielkim zasięgu jego pozytywnych zainteresowań świadczą polichromie kościołów, jako poważny wkład w odbudowie kraju.

Spróbujmy naszkicować sylwetkę Taranczewskiego — człowieka artysty.

Życie Taranczewskiego wiąże się ściśle z Poznaniem. Szkoła średnia — znane gimnazjum Marii Magdaleny — dała mu wykształcenie klasyczne. Jeszcze dzisiaj recytuje większe fragmenty Homera lub tragików greckich. Z literaturą polską zapoznał się na tajnych kompletach Towarzystwa imienia Tomasza Zana.

Zdaje się, że od najwcześniejszej młodości miał określone upodobania. Nie pociągała go nigdy trylogia Sienkiewicza. Z pisarzy najmocniej przemówili do niego Dostojewski i Stendhal. Nie bez znaczenia jest fakt, że szczególnie wbiła mu się w pamięć scena z powieści „Czerwone i czarne", kiedy Julian Sorel spostrzega biskupa, próbującego w lustrze gestów sakralnych.

Potwierdzeniem bezkompromisowej postawy Taranczewskiego i znakiem jego wybuchowego temperamentu byłby może obraz, którego nie namalował i pewnie nigdy nie namaluje, mimo wielu polichromii kościelnych — obraz Chrystusa przepędzającego ze świątyni przekupniów.

Protestem przeciw zastojowi było powstanie w r. 1935 Towarzystwa Współpracy Kulturalnej. Celem tego towarzystwa, jednoczącego ludzi nauki i sztuki, było szukanie nowych dróg dla naszej rzeczywistości kulturalnej. Jednym z jego założycieli obok Konstantego Troczyńskiego, prof. Floriana Znanieckiego, Jana Ulatowskiego, jest Wacław Taranczewski, kierujący sekcją plastyki. W salonie 35, tak nazwanym od roku założenia, organizuje Taranczewski serię wystaw najwybitniejszych

plastyków polskich. W reaktywowanym po wojnie Towarzystwie Współpracy Kulturalnej pracuje czynnie jako wiceprezes, dając inicjatywę do urządzania wieczorów dyskusyjnych, które spotykały się z dużym zainteresowaniem wśród świata nauki i sztuki naszego miasta.

Rozwój artysty nie szedł utartymi drogami. Wacław Taranczewski był uczniem zdolnym w szkole ogólnokształcącej, choć zbyt wielkim indywidualistą jak na potrzeby szkoły i programu. Ciągnęła go zawsze muzyka i grywał na skrzypcach w orkiestrze gimnazjalnej. Warunki domowe nigdy nie były wesołe, może dlatego tym bardziej uciekał do umiłowanej, początkowo raczej przeczuwanej niż zrozumianej sztuki Buntowniczy uczeń Szkoły Sztuk Zdobniczych nie znalazł uznania swego talentu także w pierwszych latach studiów w Akademii Sztuk Pięknych w Krakowie. Odkryto go dopiero w Warszawie, dokąd przenosi się po 5-ciu latach studiów akademickich. Debiutuje na wystawie w Instytucie Propagandy Sztuki w r. 1930. Potem zwykłą koleją rzeczy przychodzą nagrody, zakupy, wystawy zagraniczne.

Skąd wyrosła jego sztuka? Głównie z kultu dla wielkich tradycji artystycznych, z gorącego miłowania postępu i przeżywania wszystkiego co aktualne w sztuce, z głębokiej potrzeby wiedzy i z umiejętności samodzielnego jej zdobywania.

„Francuskość" jego malarstwa posiada, jak stwierdzają żartobliwie przyjaciele, wybitne zacięcie sarmackie.

Miedzy innymi malarstwo Taranczewskiego ma olbrzymie zalety dekoracyjne, to znaczy uczytelnia się na dużą odległość. Wynika stąd malowanie najczęściej w dużych formatach.

Czy rozsmakował się w tych olbrzymich nieraz wymiarach w pracowni prof. Kowarskiego, czy sam do tego doszedł, dość, że czuje się dopiero w swoim żywiole, gdy stawia sobie zadanie na wielką skalę.

W społeczeństwie wyjątkowo niewrażliwym na plastykę z uporem walczył Taranczewski od młodości swej o uznanie dla rzetelnych wartości artystycznych, nie uciekał w szeroki świat, przez wiele lat był śpiewakiem bez audytorium.

Sympatią i przyjaźnią darzyli go Tytus Czyżewski, Piotr Potworowski, Ludwik Puget i grupa K. P. Tak zwana rodzima grupa plastyczna Pryzmat nie dała mu jednak odpowiedzi na dręczące problemy artystyczne, nie mogła mu rozświetlić własnej drogi. Szukał „Swoich" ludzi wśród najwybitniejszych pracowników nauki i sztuki, wśród intelektualistów. Ale w gruncie rzeczy pozostawał sam ze swoim niepokojem.

Zwiedził centra sztuki w Belgii, Holandii, Francji, Niemczech, Italii i Grecji — i znowu szukał samodzielnie, zgłębiał, zastanawiał się i pracował przy sztaludze.

Obrazy jego są malowane szybko, śpiewnie — nic się nie znajdzie w nich zbytecznego. Wybalansowane rytmy jego martwych natur, komponowanych portretów własnych, w dziesiątkach różnych wersji, pięknych wnętrz z wkomponowanymi aktami, oryginalnych przedstawień tematów religijnych — opierają się na zdecydowanych predylekcjach kolorystycznych.

Z jednej strony znajduje Taranczewski szczególne upodobanie w niezliczonych kombinacjach różowego fioletu, z drugiej upodobanie do nasyconych, gorących barw przedmiotów będących w cieniu.

Jeśli chodzi o określenie systemu widzenia i wyobrażania artysty, to buduje on — prawie wyłącznie — plamę, t. j. odległość w obrazie opierając o kolory dopełniające, i w tej metodzie nie chybia. Zawsze bez wahań można określić barwną tonację obrazu Taranczewskiego, a najcenniejsze dzieła jego odznaczają się klasycznością układu i umiarem w dysponowaniu środkami wyrazu.

Artysta w pełni siły budzi najlepsze horoskopy na chlubną dalszą twórczość, a przyznana nagroda mówi o zrozumieniu jej przez poznańskie społeczeństwo i jest słuszną oceną wielkiej pracy, jaką laureat na tylu odcinkach dał swemu rodzinnemu miastu.

Dr Jan Baumgart

WSPOMNIENIE O ŚP. JANIE SPYCHALSKIM

Dnia 31 października 1946 roku zmarł po długiej i ciężkiej chorobie ś. p. Jan Nepomucen Spychalski, bibliotekarz Biblioteki Uniwersyteckiej w Poznaniu, zarazem członek Związku Polskich Artystów Plastyków. Ubył jeden z pracowników niwy kulturalnej, którego służba dla nauki, pełniona gorliwie i ofiarnie, zawsze innym przysparzała owoce. Własne jego prace w placówce naukowej poznańskiej pozostały przeważnie bezimienne, choć ogrom ich powstał pośrednio właśnie dzięki ś. p Janowi Spychalskiemu.

Jako syn ziemi Wielkopolskiej urodził się dnia 3 kwietnia 1893 roku w Czeszewie (powiat Wągrowiec) z rodziców Franciszka Spychalskiego i Marianny z domu Stańczyk. W latach 1905—1914 uczęszczał do gimnazjum w Wągrówcu, gdzie brał czynny udział w tajnej organizacji Towarzystwa Tomasza Zana, pracując w Zarządzie, przy końcu na stanowisku prezesa Koła. Pracą tą zaskarbił sobie zaufanie kolegów, którzy z wdzięcznością wspominają kierownictwo śp. Jana Spychalskiego

Studia wyższe odbywał w Krakowie (semestr letni 1914) i w Berlinie (od jesieni 1914). Uczęszczał na wykłady z literatury, sztuki i muzyki, po nadto w Berlinie zainteresowania swoje rozszerzył na nauki filozoficzne. Pracę zawodową rozpoczął w październiku 1918 roku w Poznaniu w „Ostoji" Spółce Wydawniczej. W odrodzonej Polsce wstąpił z początkiem 1920 roku do Biblioteki Uniwersytetu Poznańskiego.

Po ukończeniu Kursu Bibliotekarskiego dla kandydatów na bibliotekarzy w bibliotekach naukowych oraz po zdaniu państwowego egzaminu bibliotekarskiego 15/16. VII. 1920) stał się jednym z najgorliwszych pracowników Biblioteki Uniwersyteckiej. Pracy poświęcił się całą duszą. Jako kierownik Katologu spełnił swoje zadanie zaszczytnie.

Z jednej strony pracował jako ten cichy anonimowy pracownik nad katalogiem, pracą nie wszędzie jeszcze w naszej kulturze docenianą. Z drugiej strony tytułem kierownictwa katalogu dopomagał przez zgórą 20 lat studiującej młodzieży, licznym pracownikom naukowym i wogóle korzystającym ze zbiorów bibliotecznych. Wszystkim służył życzliwą radą i pomocą.

Ze względu na jego indywidualność, jego wiedzę, znajomość języków (oprócz klasycznych język angielski, francuski, niemiecki, włoski i rosyjski), doskonałe opanowanie bibliografii, nie ograniczał się tylko do mechanicznego informowania tego, co podają katalogi. Sięgał dalej i głębiej. Był tym, który udzielał licznych wskazówek, cennych informacyj bibliograficznych, wskazując drogę i torując od niejednego przyczynku do dużej pracy naukowej.

Zawsze z zapałem śledził bibliografie narodowe, zestawiał dezyderaty bogacąc tym zbiory Biblioteki Uniwersyteckiej. Właśnie na odcinku pracy bibliograficznej śp. Jan Spychalski górował i przodował, oddając cenną usługę nauce polskiej. Zaskarbił sobie pamięć i wdzięczność licznej rzeszy nietylko młodzieży studiującej, ale jeszcze w większym stopniu pracowników naukowych.

Zainteresowania bibliograficzne uzewnętrzniały się też w własnych pracach naukowych. Drukuje w Strażnicy Zachodniej (1927, Nr 6) „Spis prac niemieckich z zakresu spraw polsko-niemieckich". Dla Instytutu Bałtyckiego zestawia „Bibliografię pomorsko-pruską za lata 1918—1928", a w roku 1929 podaje „Zarys bibliografii pomorsko-pruskiej za I kwartał 1929" ogłoszony w Mestwinie, (rok V. 1929 Nr 6 i 7). Zapał do bibliografii nie ostygł nawet w czasie jego ciężkiej choroby, kiedy jeszcze do ostatnich dni życia studiował i zestawił wykaz dzieł angielskich i amerykańskich, jakie winny być w księgozbiorze Uniwersyteckim.

Poza sprawami bibliotekarsko-bibliograficznymi zajmował się żywo literaturą. Wyżywał się zaś w sztuce, pracując jako artysta malarz, który i na tym polu mógł się poszczycić wcale dobrymi osiągnięciami. Społeczeństwo poznańskie pamięta jego przedwojenną zbiorową wystawę obrazów, urządzoną w Poznaniu w maju 1936 roku (porównaj katalog wystawy oraz artykuły Jana Mrozińskiego w Kurierze Poznańskim, Nr 222 z dnia 13. V. 1936 i Witolda Dalbora w Dzienniku Poznańskim z tegoż czasu). Jego wszechstronne zainteresowania objawiały się też w artykułach prasowych, jak między innymi o Marcel'u Proust'cie, o malarstwie narodowym (Dziennik Poznański z dnia 9. V. 1926), „Stendhal na rozdrożu (tamże z lutego 1937), Sygnał do odwrotu (z powodu wystawy malarzy francuskich w Warszawie) (tamże z marca 1937).

Chory na serce stał się ofiarą wcześniejszej śmierci spowodu ciężkich warunków okupacyjnych. Pracując w Bibliotece Archiwum Państwowego, później przydzielony do prac przymusowych w Spółce Elektrotechnicznej, przez obowązującą nadmierną liczbę godzin pracy nadwyrężył swoje już nie silne serce. Po oswobodzeniu stanął jako jeden z pierwszych w warunkach cężkich do odbudowy Biblioteki Uniwersyteckiej.

Odszedł pozostawiwszy po sobie wdzięczną pamięć pracowitego i ofiarnego bibliotekarza, stojącego w służbie dla nauki. Zmarły był człowiekiem czystego charakteru i szlachetnego serca, silną indywidualnością, o dużych i różnorodnych zainteresowaniach, postacią o ciekawych pomysłach i ujęciach, wyrażonych w jego sztuce artystycznej. Pracą swoją wydajną zasłużył się społeczeństwu polskiemu.

Zmarły osierocił żonę, z domu Różańską, także bibliotekarkę Biblioteki Uniwersyteckiej i czworo dzieci.

Z RUCHU WYDAWNICZEGO

Marian Friedberg, Kultura polska a niemiecka. Elementy rodzime a wpływy niemieckie w ustroju i kulturze Polski średniowiecznej, t. I—II, Poznań 1940. Prace Instytutu Zachodniego t. 7—8.

„Stosunek przeciętnego Polaka do własnej przeszłości — powiada autor w uwagach wstępnych do swego dzieła — bywa zwykle krańcowy: polega na skrajnie optymistycznej lub skrajnie pesymistycznej ocenie dziejów. W związku z tym wytwarza się tendencja do zupełnego negowania albo znów przeceniania obcych wpływów na rozwój naszej kultury. Podczas gdy nastawienie pierwsze, wyrosłe z ducha dawnego sarmatyzmu, może być nieraz słusznie pomówione o bezkrytyczność i zacofanie, drugie jest równie niebezpieczne, gdyż podcina wiarę w możliwość samoistnego własnego rozwoju". Stosunek ten wynika albo z przeceniania, albo z niedoceniania możliwości twórczych własnego narodu. Objaw pierwszy prowadzi do lansowania polityki ponad stan; drugi zaś do zwątpienia we własne siły. Oba objawy są szkodliwe, ale drugi bodaj gorsze przynosi skutki. Wiedzą o tym nasi sąsiedzi i tę naszą słabość na swój sposób wykorzystują. W czasach niewoli starali się nas przekonać, że naród polski nie jest zdolny do rządzenia samym sobą, najlepiej więc dla niego, gdy jest rządzony przez obcych. — Po odzyskaniu wolności motyw ten już nieaktualny, zastąpiono innym. Uczeni niemieccy wystąpili z tezą, że państwo polskie powstało przy obcej pomocy, siłą podboju, a twórcy państwowości polskiej, Piastowie, byli Normanami (pochodnie Niemcami!). Z tego płynął wniosek, że państwo to tylko przy obcej pomocy, przy dopływie obcych sił, może się przy życiu utrzymać.

Tezę o zależności od obcych wpływów rozbudowywano coraz dalej i coraz szerzej, ogarniając nią coraz to inne pola działalności politycznej i kulturalnej naszego narodu. W świetle nowszych „badań" niemieckich okazywało się, że wszystko co w Polsce było wartościowe pochodziło z Niemiec, każda wybitniejsza jednostka miała w sobie krew niemiecką. Tuż przed wojną odnośna literatura niemiecka przybrała rozmiary lawiny. W Polsce mogliśmy ją tylko rejestrować, trudno z nią było polemizować. Nie starczyło czasu ni pieniędzy. To samo zresztą działo się przez cały czas drugiej wojny światowej, z tą różnicą, że nauka polska miała usta w zupełności zamknięte, że publicyści i naukowcy niemieccy mogli się tym swobodniej wypowiedzieć. Jak się bowiem wyraził jeden z historyków niemieckich „po rozstrzygnięciu broni — dyskusja się skończyła."

W znanych warunkach okupacyjnych nauka polska, jak całe życie społeczne narodu, zeszła do podziemi, nieprzestając jednak pracować ani na minutę. Rezultatem pracy uczonych jest cały szereg dzieł, które może posiadają formalne usterki, tłumaczące się niedostępnością źródeł, literatury, warsztatów badawczych, są jednak najczęściej głęboko przemyślane i obejmują zagadnienia w całości. Takim dziełem, próbującym rozwiązać jedno z najbardziej ważkich zagadnień badawczych historii Polski, jest właśnie wspomniana w tytule praca. Główny zrąb jej powstał już w latach 1941—43, ale był potem w miarę możności uzupełniany i rozszerzany. Autor podjął się tutaj określenia w sposób najbardziej wyczerpujący wpływów niemieckich w ustroju i kulturze (materialnej i duchowej) Polski średniowiecznej i statystycznego niemal ujęcia współudziału Niemców w tworzeniu się społeczeństwa polskiego. W pierwszej chwili wydaje się, że książka ta jest przede wszystkim rozrachunkiem z pracą badacza niemieckiego, Kurta Lücka, autora znanej pracy pt **Deutsche Aufbaukräfte in der Entwicklung Polens** (1934), ale przy bliższym zapoznaniu się z dziełem Friedberga wrażenie to mija. Uczony nasz sięga znacznie głębiej.

Rozrachunkowi z kulturą niemiecką (nigdzie zresztą nie przeciwstawianą kulturze polskiej, jako obiekty przeciwne) poświęcony jest tylko tom drugi, natomiast tom pierwszy w całości zajmuje się określeniem elementów rodzimych ustroju i kultury polskiej. Założenie takie i jego wykonanie jest zupełnie słuszne, gdy zmierzywszy w każdym badanym okresie rozmiary własnego dorobku cywilizacyjnego, można w nim z większą pewnością wykrywać udział sił obcych. Trzeba powiedzieć, że próba ta, może w szczegółach wymagająca jeszcze uzupełnień dalszych badań a nawet sprostowań, w całości przynosi wyniki, których dalsze badania nie zdołają naruszyć. Z pracy Friedberga okazało się, że badanie takich problemów,

jak wpływy ustrojowe, kulturalne i cywilizatorskie mogą być ujmowane tylko w zespole, że dopiero takie ich traktowanie pozwala orzekać naukowo o ich wzajemnym do siebie stosunku, oraz że tylko tą metodą można odróżnić obce od swego. Tak jest, ujęcie to jest wzięte z życia — z życia, którego najistotniejsze składniki ma odtwarzać.

Analizę swą rozpoczyna autor od dwu zagadnień, najzawzięciej dotąd w nauce polsko-niemieckiej dyskutowanych, tzn. od genezy państwa polskiego i określenia jego stosunku do cesarstwa rzymsko-niemieckiego, z pominięciem opisu dziejów politycznych (których braku przy czytaniu książki zupełnie nie odczuwamy) oraz z pominięciem niesłychanie ważnego zagadnienia stosunku królestwa polskiego do instytucji Cesarstwa. Przyznajemy jednak, że opracowanie tej ostatniej sprawy wymaga jeszcze uprzednich badań. — Od państwa przechodzi autor do społeczeństwa, zastanawiając się kolejno w trzech rozdziałach nad poszczególnymi jego klasami: rycerstwem, włościaństwem i mieszczaństwem. Z każdym z tych rozdziałów wiąże od razu rozważania nad rolą żywiołów obcych wśród tych grup społecznych, stwierdzając słaby dopływ rycerstwa obcego, przede wszystkim niemieckiego, w pierwszym okresie (do XIII w. włącznie), a znaczniejszy w drugim w w. XIV i XV, odwrotnie, niż w miastach i na wsi. Na wieś co prawda napływ ludności obcej był przez cały czas trwania tzw. kolonizacji na prawie niemieckim bardzo znikomy z wyjątkiem niektórych okolic Śląska, natomiast większy był do miast w ciągu XIII i XIV wieku. Ale już w ciągu XV stulecia żywioły obce ulegały polonizacji, a tym samym oddziaływaniu kultury polskiej. Rozsadnikiem niemczyzny były niektóre klasztory (cystersów i franciszkanów), ale wyższe duchowieństwo w przeważnej mierze było pochodzenia polskiego. Szereg legend o obcym pochodzeniu niektórych jego członków okazuje się po bliższym zbadaniu wierutnym wymysłem, a współudział niemiecki jest tutaj zdumiewająco mały. Tłumaczy się to tym, że w XI i XII wieku, gdy Polska pomocy duchowieństwa obcego najbardziej łaknęła — Niemcy wschodnie same go nie posiadały w nadmiarze, a później Polska stała się samowystarczalna. W tym pierwszym zaś okresie najwięcej korzystaliśmy z dorobku ośrodków kościelnych wschodnio-francuskich (Lotaryngia) i belgijskich.

W tomie drugim przeprowadził autor najpierw teoretyczny podział dziejów kultury polskiej na okresy i rozpatruje ją w kolejnych rozdziałach o kulturze Polski pogańskiej, o pierwotnej kulturze Polski do końca w. XII, kiedy najważniejszym czynnikiem jej rozwoju była opieka książęca, następnie okres upadku mecenatu monarszego i wytwarzania się ośrodków kulturalnych w samym społeczeństwie (kościół, klasztory, rycerstwo) w wieku XIII i na początku XIV stulecia, wreszcie jej nadzwyczajny rozkwit u schyłku średniowiecza równocześnie z rozwojem politycznym państwa jagiellońskiego. Na końcu dzieła zestawił autor imponującą cyfrowo literaturę przedmiotu, która choć dochodzi tysiąca pozycji, w niektórych wypadkach była jeszcze uzupełniana bardziej szczegółowymi badaniami, których już autor nie wymienia. Nie wymienia też źródeł rękopiśmiennych i archiwalnych, z których także obficie, zwłaszcza w zakresie archiwaliów miejskich, korzystał.

Można bez przesady powiedzieć, że dzieło Friedberga jest jedną z najbardziej udanych pozycji wśród wydawnictw Instytutu Zachodniego. Zdumiewa ono bogactwem omówionych szczegółów, uczy jasnością myśli, poglądów i konkluzji. Będzie ono też cennym kompendium nie tylko dla zwykłych czytelników i publicystów, interesujących się rozwojem stosunków polsko-niemieckich, ale największą przysługę odda ono uczonym i fachowcom, zawodowo trudniącym się tymi zagadnieniami.

Gerard Labuda.

Dr Maria Czekańska: „Z biegiem Odry", Wydawnictwo Zachodnie, Poznań 1946 — stron 132.

Uczmy się geografii! Ostatnia wojna światowa zapoznała nas z geografią w swoisty, praktyczny sposób. Nauczyła i tych, których jak liście, porwane wichrami jesiennymi, rozsypała po wszystkich częściach globu, i tych, którzy przywarowawszy do rodzinnej grzędy sercem dążyli za swymi najbliższymi, których los gnał po świecie, i tych, którzy z komunikatów wojennych, tajnych, czy oficjalnych pragnęli wyłowić słowa otuchy i ziarenka nadziei.

A dziś, gdy fale, rozkołysane zawieruchą wojenną zdają się powoli wygładzać, nauka geografii nie straciła nic na aktual-

ności. Glob ziemski stał się tak ciasny, że znajomość nazwisk różnych państw egzotycznych stała się obowiązkową nie tylko dla filatelistów, lecz dla każdego pożeracza gazet. Toć wiadomo, że reportaże podróżnicze są artykułem najbardziej pożądanym dla wydawców wszelkiego rodzaju periodyków.

A czyż nie stały się dla nas niestety egzotycznymi owe kraje nad Kwisą i Nisą, nad Regą i Redą, Prośnicą i Łupawą, które dzierżyli w swych rękach przed wiekami nasi praojcowie, a do których teraz wracamy z tym silnym przeświadczeniem, że nie rzucim już tych ziem, skąd nasz ród, a kto by po nie sięgał, to nasz wróg.

Niemniej przyznać musimy pełni skruchy, że ziemie te aczkolwiek nam drogie i coraz to bliższe sercu naszemu są nam na ogół nieznane. Mimo, że witają nas one swojskimi dźwiękami swych nazw topograficznych i roztaczają przed naszym wzrokiem swojskie krajobrazy, uczyć się musimy ich geografii, studiować ją dokładnie, ażeby nazwy te, często prastare i czysto polskie wraziły się w naszą pamięć, w nasze mózgi i serca. A ponieważ nauka geografii nie znosi werbalizmu, lecz musi się opierać o konkrety, musimy wyrazić głęboki żal pod adresem naszych czynników rządowych, że nie postarały się do tej pory, by wzrokowo uprzystępnić najszerszym warstwom ludności te ziemie, tak wytęsknione i ukochane, a tak mało jeszcze znane.

Czyż nie powinny być wyświetlane w każdym kinie polskim krótkometrażówki, przedstawiające nam widoki Sudetów, czy wybrzeża pomorskiego, Śląska, „Białego", „Czarnego", „Zielonego", czy Pojezierza Pomorskiego lub Mazurskiego, kościółków drewnianych na Śląsku, lub omszałych gotyków dawnych zamków piastowskich? — Czy nie należało wydać po przystępnych cenach zbiory zdjęć fotograficznych, które by odkryły szczegóły architektoniczne, niedostępne dla oka laika, albo zabytki przyrody, nieznane ogółowi? — Czyż nie powinno się urządzać wędrownych wystaw dzieł naszych plastyków, przedstawiających urok tych ziem? — Czyż nie wstyd nam, że nasi osadnicy, chcąc unaocznić swym bliskim, pozostałym w starym kraju piękno nowych swych siedzib, muszą posługiwać się niemieckimi widokówkami z niemieckimi napisami, bo polskich jeszcze nie ma? I niechaj nikt nie twierdzi, że nie stać nas na to, bo to są rzeczy niezbyt kosztowne, bo na to pieniądze mogą i muszą się znaleźć, bo tak nam nakazuje racja stanu.

Dobrze się więc stało, że pojawił się wreszcie jakiś podręcznik geografii, poświęcony choćby części tych ziem: Śląskowi, Nadodrzu i Pomorzu Zachodniemu. Pojawił się dzięki inicjatywie prywatnej i dlatego w zbyt skromnej szacie.

Mam na myśli książkę dr Marii Czekańskiej: „Z biegiem Odry".

Z góry oświadczam, że uważam książkę tę za bardzo potrzebną, bardzo na czasie i bardzo użyteczną.

Autorka wyszła ze szkoły naszego wielkiego geografa prof. Pawłowskiego. To też książka jej nosi wybitnie znamiona jego ducha: jasność i prostotę stylu, sumienność i ścisłość przedstawienia, zwięzłość i przejrzystość układu.

W krótki, lapidarny sposób zapoznaje nas z różnolitością poszczególnych krain śląskich, z krajobrazem niżowym Nadodrza i pobrzeża Bałtyku, z garbem Pojezierza Pomorskiego. W ciekawych rozdziałach pod tytułem: „Z dziejów walk i o polskość Śląska" i „stosunki narodowościowe Pomorza", wprowadza nas w zagadnienie ludnościowe tych ziem. Interesujące są jej wywody nad chłonnością ludnościową tych ziem, oparte o ostatnie, przedwojenne dane statystyczne. Mamy wreszcie zarys stosunków gospodarczych Śląska i Nadodrza, a osobny rozdział poświęcony jest Odrze.

Wszystko to jest poparte wnikliwymi studiami odnośnej literatury naukowej, niestety w ogromnej większości niemieckiej. Źródła te, mimo że obce, nie zaciemniły bystrości wzroku polskiej autorki, która potrafiła z nich wyłuskać to wszystko, co dla nas Polaków może być cenne i pożyteczne.

Widzę jednak w książce i braki, na które pragnąłbym zwrócić uwagę autorki, jedynie z tego powodu, że książka ta, tak pożyteczna, powinna doczekać się jak najrychlej drugiego wydania.

Pomijam drobne usterki, raczej korektorskiej natury. —

Autorka przytacza wszędzie jedynie dane cyfrowe przedwojenne, ilustrujące osiągnięcia przemysłu i rolnictwa niemieckiego. Ani słowa o obecnym stanie odbudowy, albo o obecnym zaludnieniu tego kraju. Zdaję sobie sprawę z tego, jak trudno przedstawić stosunki te w obecnej chwili, kiedy wszystko tam jest jeszcze płynne. Niewątpliwie w ogromnej większości wypadków przyjdzie zrezygnować ze ścisłych danych cyfrowych. Jednakże należałoby postarać się o dostęp do cyfr, ujawnionych w spisie ludności, przeprowadzonym w lu-

tym br. Oczywista wyniki tego spisu są już przestarzałe, lecz Ministerstwo Ziem Odzyskanych zbiera co kwartał dane ze wszystkich resortów zainteresowanych życiem Ziem Odzyskanych, a dane te może nie zawsze dość ścisłe, dałyby jednak bardzo ciekawy pogląd na osiągnięcia nasze w chwili obecnej. Chodzi też o to, byśmy się dowiedzieli, w jakim stopniu zniszczenia objęliśmy poszczególne rodzaje przemysłu i najcelniejsze jego objekty. Cóż nam z tego, że za przewodnictwem autorki dowiadujemy się, jak wspaniale rozgałęziony i jak różnolity był, dajmy na to, przemysł Szczecina, dla nas ciekawszym byłoby dowiedzieć się, co z tego wszystkiego i w jakim stanie dochowało się do chwili obecnej, w jakim stadium odbudowy to wszystko się znajduje i jakie są perspektywy dalszego rozwoju na najbliższą przyszłość tego ośrodka przemysłowego. Nikt nie mógłby mieć pretensji do autorki, gdyby dane te pod względem ścisłości odbiegały nawet bardzo znacznie od wymogów naukowych. Książka straciłaby niewątpliwie na ścisłości, zyskałaby jednak, i to jest najważniejsze na aktualności.

Autorka potraktowała z pieczołowitą drobiazgowością Śląsk, rozczłonkowując go na cały szereg poszczególnych krain, tak bardzo od siebie różniących się warunkami życia i bytu ich mieszkańców. O wiele szerszymi pociągnięciami pędzla posłużyła się autorka, kreśląc obraz Ziemi Lubuskiej i Pomorza. Może to i słuszne, uwarunkowane większą monotonnością tych ziem w porównaniu ze Śląskiem. Nie mogę się jednak oprzeć wrażeniu, że ziemie nad dolną Odrą zostały potraktowane przez autorkę zbytnio po macoszemu. Na Śląsku wyróżnia autorka następujące jednostki krajobrazowe: Beskid Śląski, Śląsk „Czarny" (Zagłębie górniczo-przemysłowe), Śląsk „Zielony" — leśny na całym prawym pobrzeżu Odry i na lewym między Odrą i Nisą Kłodzką, Śląsk „Biały" — Grzbiet chełmski, przegradzający Śląsk „Zielony", gornośląską krainę rolniczą, południowo-zachodnią część po lewym brzegu Odry; — na Śląsku Środkowym lewobrzeżną krainę rolniczą — spichrz środkowo-śląski, prawobrzeżną krainę leśną, rolnicze pogórze Sudeckie i na Śląsku Dolnym Bory dolnośląskie w dorzeczu Bobrawy i Nisy Łużyckiej, północną krainę rolniczo-ogrodową w okolicach Głogowa i Zielonej Góry, dolnośląską krainę rolniczą po prawej stronie Odry aż po Kocie Góry, wreszcie Sudety, ciągnące się wzdłuż całego Śląska, — razem 14 odrębnych krajobrazowo krain. Sądzę, że przy równie dokładnym traktowaniu Nadodrza i Pomorza można by i należało uwypuklić również różne krainy, wyodrębniające się krajobrazowo i tym samym nadać całości tych ziem fizjognomię bardziej wyrazistą.

Za niezbyt szczęśliwe uważam też przedstawienie w oddzielnych rozdziałach, czy podrozdziałach zarysu stosunków gospodarczych na Śląsku i Pomorzu przy czym oddzielnie omawia się rolnictwo i lasy, skarby górnicze, przemysł itp. I znowuż czytelnik, który niedostatecznie jeszcze w swej pamięci potrafił utrwalić podział Śląska na poszczególne krainy spotyka się z tymi krainami, lecz teraz pod innym, gospodarczym aspektem. Przyznam się, że po pierwszym przeczytaniu całego rozdziału o Śląsku ogarnął mię lekki mętlik. Czy nie byłoby prościej dać przy każdej krainie wyczerpujący obraz jej, nie tylko pod względem geologicznym i morfologicznym, lecz również pod względem gospodarczym i antropogeograficznym? W ten sposób obraz poszczególnych krain, a i całości zyskałby na wyrazistości i zwartości. Może też należało dać na początek mniej szczegółów i nie rozbijać całokształtu obrazu na tak drobne części, lecz za to podkreślić i uwypuklić poszczególne krainy silniej i dosadniej.

A teraz co do szaty ilustracyjnej, tak ważnej w podręczniku geografii.

Książka zawiera 22 zdjęcia dość udatne i wyraziste, przydałoby się ich więcej, lecz niestety tutaj wchodzą w grę względy natury finansowej i nie mamy prawa domagać się od prywatnego nakładcy zbytniego obciążenia kosztów nakładu.

Natomiast „mapka w tekście" zapowiedziana na karcie tytułowej budzi głębokie rozczarowanie. Taka mapka — to lepiej żadna. Nie daje niczego poza bardzo uproszczonymi konturami powiatów i nazwami miejscowości stołecznych. Raczej należałoby podać w tekście, omawiając poszczególne krainy, mapki orientacyjne tych krain i to w większej podziałce; na mapkach tych możnaby umieścić różne szczegóły, np. rozmieszczenie lasów, lub innych głównych gałęzi przemysłu itp. Brak materiału kartograficznego, ilustrującego wywody autorki obniża niestety wartość książki bardzo poważnie.

Wreszcie jeszcze jedna prośba pod adresem autorki. Dużo jest w Polsce ludzi, którzy jak autor niniejszej recenzji związani są z terenem tych ziem przez dłuższy

pobyt na nich w czasach przedwojennych. Dużo jest też takich, którzy pragnęliby się z nimi bliżej zapoznać i mają do tego sposobność, mogąc poszperać w odnośnej literaturze, lub w atlasach niemieckich, — jedna tylko zachodzi — i to niemało ważna przeszkoda: oto sprawa nazw topograficznych. Czy nie należałoby umieścić poza tekstem na końcu książki słowniczka geograficznego, któryby zawierał spis wszystkich miejscowości, rzek, jezior i gór wymienionych w książce z podaniem ich nazw niemieckich? Byłoby to ogromnym ułatwieniem przy korzystaniu z niemieckich map, którymi posługiwać będziemy się musieli jeszcze czas dłuższy. Wydaje mi się to tym konieczniejsze, że obecnie w dziedzinie ustalenia polskich nazw topograficznych tych ziem panuje stan bardzo płynny.

I jeszcze jedno zapytanie. Czy autorka nie sądzi, że rysunku w winiecie, umieszczonego na karcie tytułowej, a przedstawiającego bieg Odry i Nisy Łużyckiej nie należałoby zmienić? Przecież Nisa Łużycka wpływa do Odry pod zupełnie innym kątem, aniżeli na tym rysunku.

Są to wszystko usterki i braki względnie dezyderia mniejszej wagi, wypowiedziane niejako na marginesie książki. W ogólnej reasumpcji pragnąłbym jeszcze raz silnie podkreślić, jak ważną lukę w naszej literaturze nie tylko podręcznikowej wypełniła autorka swą pracą. Książka winna być rozczytywana nie tylko jako podręcznik szkolny, ale jako książka domowego użytku, potrzebna dla tych, którzy są zainteresowani sprawami naszych ziem zachodnich, a pod adresem autorki mamy tylko jedną prośbę: oto opracować i wydać jako dalszy ciąg swej cennej pracy książkę o ziemiach nad Pasłęką i nad jeziorami Mazurskimi.

Dr M. Jabczyński

Ziemie odzyskane — odzyskani ludzie
Wydawnictwo Zachodnie — Poznań — 1946

Uwagi poświęcone kulturze Ziem Odzyskanych mają nie małą wartość jako vade mecum dla tamtejszych działaczy społecznych i politycznych. Nie można im jednak przypisywać znaczenia o wielkiej doniosłości pomimo ujęcia jakby programowego. Trzeba sobie szczerze powiedzieć, że te piękne słowa w zetknięciu z życiem bledną, przyjmując niekiedy wprost tylko znaczenie komunałów. Nie mamy i nie możemy mieć jakiegoś Ministerstwa Kultury, jakiegoś centrum z jakąś aparaturą własną. Kulturę tworzą w najróżnorodniejszych sytuacjach i więksi i mniejsi. Przede wszystkim jednak najwięksi. Ale ci nie potrzebują podręcznika. Czerpią oni z głębi swego geniuszu, tworzą dzieła na niczym nie wzorowane i swoją oryginalnością torują drogę maluczkim. O takie dzieła kultury wołajmy nade wszystko. One będą mogły nadać piętno życiu codziennemu Ziem Odzyskanych, które jak to pięknie przedstawia prof. Pollak, predestynowane są do wielkich rzeczy, bo nie gdzieindziej jak nad Odrą i Wartą stała kolebka naszej kultury i tu są warunki do pokierowania jej ku masom ludowym i wyzwolenia z prostego ludu sił twórczych na niwie kultury. Tu bardziej jak w innych stronach Polski kultura jest własnością całego ogółu.

Gdy mowa jest o „Odzyskanych Ludziach", wszyscy autorzy zbiorowego dziełka uderzają zgodnie w akord „Kochajmy się". Dał kiedyś Osmańczyk wnikliwe streszczenie stosunku naszego do ludności polskiej Ziem Odzyskanych. W wzniosłych przemowach są oni „drogimi rodakami", a w zetknięciu codziennym pospolitymi „germanami". — Także i autorzy zbiorowego dziełka o „Ludziach i Ziemiach Odzyskanych" są zdecydowanymi obrońcami autochtonów. Ale nie dość dobitnie podkreślają i nie dość wyczerpująco naświetlają, że ta ludność do niedawna, bardzo mało uświadomiona narodowo, a nawet częściowo już pozbawiona wszelkiej łączności duchowej z narodem polskim, musi być bliską nam w każdej sytuacji, nawet wtedy, gdy odkryje nam swoje oblicze już tylko słabo przypominające nam rodaka, nawet wtedy, gdy ujawni cechy charakteru przyswojone od Niemców. Nic łatwiejszego jak wtedy odczuwać antypatię do takiego Polaka, raczej wyglądającego na Niemca. Że i w takich chwilach i sytuacjach zdobyć się musimy na serce, na to „Kochajmy się",— to wymaga o wiele dokładniejszego wyjaśnienia ogółowi naszego narodu. Tej wątłej roślince, która wyrosła na glebie wyjałowionej, bo nie użyźnianej od setek lat rosą kultury polskiej, okazać nasamprzód musimy wiele ciepła, aby mogła rozwinąć się należycie.

W potoku tematów, stale i stale powtarzanych, mile wyróżniają się uwagi przedstawiające sąsiadowanie polsko-niemieckie z punktu widzenia żywotności biologicznej obu narodów. Na Ziemiach Odzyskanych mieszkało przed wojną ponad 10 milionów ludności przeważnie Niemcy. Uciekli oni względnie ulegli wysiedleniu. W niemałej mierze oni właśnie spowodo-

wali niezmierne zgęszczenie ludności tuż za Odrą i Nissą (w Saksonii i w rejonie Berlina — jest 100 do 200 ludzi na 1 km^2.

Oto problem „Ludzi" Ziem Odzyskanych. Problem ten nie jest rozwiązalny. Niemcy liczą teraz ponad 60 milionów ludności, ale liczba ta spadnie znacznie w ciągu następnych 30 lat, nawet i bez jakichkolwiek nieludzkich metod, których zresztą nikt wobec nich nie zamierza stosować. Ludność niemiecka w ciągu tych 30 lat zbliżyć się może więc do liczby naszej ludności, jeżeli u nas zamiast spadku ludności nastąpi silny zwrot, którego zresztą od zdrowego narodu należy oczekiwać. Za Napoleona Francja liczyła więcej ludności jak Niemcy. Około roku 1870 nastąpiło wyrównanie. W roku 1914 Niemcy miały przewagę wynoszącą już około 50%. W ciągu tych 100 lat ludność niemiecka potroiła się, podczas gdy ludność Francji nawet nie podwoiła się.

Naszym najlepszym puklerzem przed niebezpieczeństwem niemieckim będzie 50 milionów Polaków przy takim samym stanie ludności niemieckiej. Ktoby ten morał (który będzie na miejscu przy omawianiu dziełka o treści tak wyraźnie dydaktycznej) chciał załatwić uśmieszkiem, może złośliwą uwagą o „radosnej twórczości", ten zaiste nie przysłuży się dobrze bezpieczeństwu naszych dzieci i wnuków w obliczu groźby nieuchronnej płynącej z psychozy rewanżowej naszego sąsiada z zachodu, — groźbie, która jeszcze dziś istnieje, ale której likwidacja w ciągu jakichś lat 30 leży w naszej mocy.

Likwidacji ulec musi oczywiście nie tylko przewaga potencjału biologicznego Niemiec. To samo nastąpić musi i z ich potencjałem gospodarczym, co w wielu miejscach omawianego dziełka trafnie jest podkreślone.

Pod tytułem „W rocznicę kapitulacji Niemiec" przedstawia nam plastycznie prof. Z. Wojciechowski, jak to Hitler bynajmniej nie jest odosobnioną postacią w historii niemieckiej. Odkąd tylko źródła historyczne mówią nam o życiu sąsiedzkim Polaków i Niemców, ci ostatni obojętnie czy pod znakiem krzyża, czy swastyki, czy w postaci Hohenzollerna, czy też Weimarczyka — socjalisty, wdzierali się na nasze ziemie i wszyscy zgodnie hołdowali zasadzie tępienia nas bez litości. Oczywisty stąd wniosek: musimy ich do ostatniego z ziem naszych usunąć.

Za 30 lat, może... po raz pierwszy od 10-ciu wieków zaistnieje chwila, że będziemy mogli poddać rewizji to tak zrozumiałe dzisiaj nastawienie nasze względem Niemców. Jakże by bardzo odpowiadało to naszej kulturze, która jak szereg autorów dziełka podkreśla, ma cechy zdecydowanie chrześcijańskie.

Ale warunek: conajmniej podwojenie w ciągu jednego pokolenia liczby naszej ludności.

Nawet granica strategicznie najidealniejsza nie daje rękojmi. Ratunek jest tylko w ludziach. Potrzeba nam wiele ludzi i, rzecz zrozumiała, ludzi wartościowych. A najbardziej wartościowych potrzeba nam na zachodzie. Dziełko o „Ziemiach Odzyskanych i odzyskanych Ludziach" dobre spełniło zadanie, myśl tę tak często i tak dobitnie podkreślając.

To też wszystkim jego współautorom — poza już wymienionymi są to E. Męclewski, E. Serwański, dr A. Rogalski, J. Kolipiński i dr A. Klafkowski — należy się szczere uznanie za podsumowanie i uporządkowanie niespornych wprawdzie na szczęście na ogół, ale naprawdę ważnych myśli i poglądów.

Stefan Radajewski.

ZE ŚREMU

Życie kulturalno-oświatowe pozostaje w dalszym ciągu pod wielkim wpływem zewnętrznym, tj. uzależnione jest od przyjezdnych zespołów. I tak odwiedził nasze miasto dwa razy Miejski Teatr z Gniezna, wystawiając raz „Starego kawalera" a za drugim razem „Moralność pani Dulskiej". O ile w „Starym kawalerze" sytuację ratował sam dyr. Barwiński, grający starego kawalera, o tyle z przedstawienia „Moralność pani Dulskiej" publiczność miejscowa wyszła z niesmakiem, zwłaszcza, że wielu widziało tę sztukę w Poznaniu, w o wiele lepszym wykonaniu. Za to „Skiz" ze znaną artystką Ćwiklińską przyniósł i wykonawcom sukces i publiczności zadowolenie. Śrem sam nie może się jakoś zdobyć na własne, godne wzmianki przedstawienie amatorskie. Praca kulturalno-oświatowa jest zbyt rozproszkowana i wszędzie pracują ci sami ludzie. Obok istniejących dotąd szkół powstała Trzyletnia Szkoła Przemysłowa przy fabryce maszyn rolniczych Malinowskiego oraz gimnazjum o ustroju semestralnym dla pracowników U. B. Rozwijający się zeszłego roku dość pomyślnie Uniwersytet Powszechny musi z trudem zdobywać nowych słuchaczy, gdyż część zeszłorocznych przeszła do gimnazjum dla dorosłych. Uruchomiono dotychczas kurs księgowości, na który zapisało się na początku 18 osób. Założony „Czytelnik" umożliwi miłośnikom dobrej książki dostęp do najnowszej beletrystyki i wydawnictw popularno naukowych. Wypożyczalnia znajduje się tymczasowo w sklepie papieru pani Fryderowej.

Życie społeczno-polityczne. Ważniejszym wydarzeniem na tym odcinku było Święto Pułkowe tutejszej jednostki wojskowej. Z tej okazji odbyła się na rynku Msza polowa, po której przedstawiciel d-cy Okręgu nr 3, gen. Nos udekorował sztandar 28 pułku artylerii szturmowej orderem Virtuti Militari, a żołnierzy i oficerów, którzy zasłużyli się w walkach na szlaku Chełm — Praga innymi oznakami. Społeczeństwo śremskie składało na ręce ppłka Kaszyńskiego pamiątki i dary dla zadokumentowania hasła „Wojsko z ludem — Lud z wojskiem." W tym też tonie były utrzymane przemówienia na rynku.

Podobną uroczystoscią, lecz o charakterze religijnym, był pobyt w naszym mieście J. Eksc. ks. Arcybiskupa Dymka, który odprawił w odnowionym przez społeczeństwo miasta i okolicy kościele pofranciszkańskim, pierwszą po siedmiu latach Mszę św. Kościoł ten w stylu barokowym, wybudowany w XVII wieku, został przez młodzież hitlerowską zbezczeszczony i zniszczony. Z okazji pobytu ks. Arcypasterza odbyła się akademia, podczas której mgr Jan Horowski wygłosił krótkie przemówienie n. t. „Ziemia śremska w służbie Kościoła i Narodu."

75-lecie swego istnienia obchodziło Towarzystwo Rzemieślniczo - Przemysłowe, którego założycielem był ówczesny proboszcz a późniejszy arcybiskup ks. Stablewski. O chlubnej działalności towarzystwa świadczy urządzona w roku 1924 wystawa przemysłowa i założone a istniejące do dziś ogródki działkowe.

W odpowiedzi na mowę Byrnesa, śladem innych miast, urządzono tu wiec protestacyjny, na którym przemawiali kierownik miejscowego Oddziału Informacji i Propagandy Dezor, mec. Ekner, p. Szpkas z P. P. R. oraz przedstawiciel wojska kpt. Libiszowski.

Celem bliższego skontaktowania i zaznajomienia społeczeństwa z pracami i zadaniem terenowych rad narodowych odbyło się w sali p. Sałacińskiego zebranie pu-

bliczne wszystkich rad narodowych z powiatu. Przewodniczący Powiatowej Rady Narodowej Ganowicz omówił cele i zadania rad narodowych, a poszczególni przewodniczący zdawali sprawę z działalności i planów na przyszłość.

Związek Sportowy Wędkarzy „Warta" w Śremie urządził konkurs wędkarski, w którym wzięło udział 34 członków. Największą ilość punktów za złowione ryby zdobył funkcjonariusz pocztowy Wojciech Górny, otrzymując w nagrodę składaną tyczkę bambusową.

Dzień Spółdzielczości wypadł tego roku znacznie efektowniej, niż zeszłego roku. W pochodzie jechały pięknie udekorowane auta ciężarowe miejscowych spółdzielni. Program akademii wypełniły występy orkiestry, dzieci szkolnych, chóru i referat. W ścianę domu Banku Ludowego wmurowano usunięte przez Niemców popiersie ks. Piotra Wawrzyniaka, jednego z pierwszych spółdzielców nie tylko na terenie Śremu, lecz również Wielkopolski.

Budżet administracyjny miasta i miejskich zakładów przemysłowych uchwaliła Miejska Rada Narodowa na sumę ogólną 8.779.185 zł. Preliminarz budżetowy Komitetu Opieki Rodzicielskiej przy Państw. Gimn. i Liceum opiewa na sumę 402.800 zł.

Za udział w bandach i szeregu napadach na M. O., kradzieże itp., skazał Rejonowy Okręgowy Sąd Wojskowy w Poznaniu na sesji wyjazdowej w Śremie w trybie doraźnym Tomasza Biernaczyka, ur. 11. VIII. 1924 w Belęcinie Starym powiatu leszczyńskiego na karę śmierci. Młody przestępca przedstawiał zupełnie aspołeczny typ i to właśnie w dużej mierze przyczyniło się do tak surowego wyroku.

Młodzież tutejszego gimnazjum i liceum wydała nowy numer swego czasopisma „Pierwiosnek." Numer ten poświęcony jest książce polskiej. Szczegółowe omówienie znajdzie czytelnik na innym miejscu. Osobiście wolałbym, aby „Pierwiosnek" trzymał się bardziej charakteru regionalnego a unikał artykułów treści zbyt ogólnej, w tonie moralizatorskim.

J. H.

Z GORZOWA

Centralny ośrodek miejski na Ziemi Lubuskiej posiada Szkołę Muzyczną, Muzeum Ziemi Lubuskiej, na szeroką skalę zakrojony Dom Społeczny, przede wszystkim zaś stały Teatr im. Józefa Korzeniowskiego. Prowadzony pod dyr. Leonii Barwińskiej, wykazał ożywioną działalność objazdową na terenie całego Województwa ze szczególnym uwzględnieniem ziem odzyskanych. Teatr ten, korzystając z poparcia Prezydium Miasta i Starosty Powiatowego, spełnia rolę analogiczną do Teatru Miejskiego w Gnieźnie.

Z imprez gorzowskich na czoło wysunęły się z rozmachem zorganizowane Dożynki Ziemi Lubuskiej.

Starostwo Powiatowe wydaje na powielaczu tygodniowy Biuletyn, w którym znajdują uwzględnienie sprawy z zakresu życia artystycznego.

W połowie września zarząd Domu Społecznego w Gorzowie zorganizował Festiwal Sztuki Ludowej w Santoku. Zadaniem Festiwalu była m. in. eliminacja najlepszych wzorów kultury ludowej, niezwykle na terenie Ziemi Lubuskiej — wobec napływu repatriantow i osadników z różnych stron — zróżnicowanej.

Z PIŁY

W lipcu dano dwukrotnie rewię „Bo Piła jest miła". Gościła „Kukułka" pozn (dwukrotny występ w lipcu) i inne zespoły przyjezdne, jak warszawski „Din-Don" i „Cyganeria", krakowski pod kierunkiem

Plattówny (fragment z opery „Halka" St. Moniuszki). Teatr Domu Żołnierza z Koszalina wystawił „Radcy pana Radcy", rewie cyrkowe itd.

Nowo powstała orkiestra Trojanowskiego, ćwiczy na instrumentach „Domry". Poza tym odbywają się stałe koncerty czwartkowe Orkiestry Kolejowej.

Zawiązał się również chór „Halka".

Mimo wakacji odbyły się 2 wieczory dyskusyjne a biblioteka przy Referacie Kultury i Sztuki rozwija się pomyślnie.

W Motylewie i Koszycach obchodzono uroczyście dożynki pomimo braku strojów regionalnych.

W przygotowaniu wystawa przemysłu handlu i rzemiosł.

Z ZIELONEJ GÓRY

Przez cały lipiec grał Teatr Aktora i Lalki z Poznania, zaspokajając dobranym repertuarem potrzeby kulturalne w zakresie teatru. Zespołów przyjezdnych było kilkanaście (w tym balet Teatru Wielkiego z Poznania, artyści rozgłośni radiowej z Torunia, zespół warszawski „4 Asy"). Miejscowi amatorzy grali „Małżeństwo Loli" H. Zbierzchowskiego.

Na terenach gmin i gromad odbyły się w sierpniu uroczystości dożynkowe, urozmaicone pieśniami i strojami regionalnymi.

„Im szybsza spłata

DANINY NARODOWEJ -

tym większa jej siła twórcza"

PRACE OGŁOSZONE
w numerach I—X „Przeglądu Wielkopolskiego" rocznika 1946

Dr Florian Barciński: O przebudowę struktury gospodarczej Wielkopolski.

Dr Jan Baumgart: Ludwik Posadzy.

Dr Józef Bossowski: Zakładnicy miasta Poznania z r. 1939.

Dr Zygmunt Czubiński: „Rezerwaty przyrody w Ziemi Lubuskiej".

Dr Józef Jaxa-Bykowski: Młodzież szkolna Wielkopolski i Pomorza w świetle badań eksperymentalnych.

Dr Zdzisław Grot — Dr Wincenty Ostrowski: Szlakiem myśli Mieszkowej.

Dr Zdzisław Grot: Wspomnienie o Januszu Staszewskim.

Dr Zdzisław Grot: „Nieznana relacja o Marcinkowskim".

Leszek Gustowski: „Radiofonia Wielkopolski".

Dr Mieczysław Jabczyński: Bernard Chrzanowski.

Dr Witold Jakóbczyk: „Żywot Karola Marcinkowskiego".

„ „ „ „Marcinkowski a Trentowski".

„ „ „ „Aktualność Libelta".

Dr Witold Hensel: „Potrzeba przygotowania wielkiej rocznicy".

Dr Kazimierz Kapitańczyk: „Początki nauczania chemii w szkołach wielkopolskich".

Dr Józef Kostrzewski: Tło prehistoryczne „Starej Baśni" J. I. Kraszewskiego.

Dr Alfred Kucner: „O pomnik Adama Mickiewicza".

Dr Gerard Łabuda: Źródła niemocy polskiej na kresach zachodnich.

Hilary Majkowski: Feliks Nowowiejski.

Brunon Maske: Z życia naszych gadów krajowych.

Dr Jerzy Młodziejowski: Wacław z Szamotuł a doba obecna.

„ „ „ „Zarys terenowego ukształtowania Wielkopolski".

Dr Wincenty Ostrowski — Dr Zdzisław Grot: Szlakiem myśli Mieszkowej.

Dr Stanisław Pigoń: Z nad Gopła na Górę Lubiń.

Witold Powidzki: „Wielkopolska a idea słowiańska".

Henryk Przybylski: Grzegorza z Szamotuł pierwsza regionalna fundacja stypendialna w Polsce.

Dr Wiesław Rakowski: O hodowli karpi i linów.

Dr Adam Skałkowski: Śp. Bronisław Dembiński.

Dr Adam Skałkowski: „Karol Marcinkowski (w setną rocznicę zgonu)".

Dr Adam Skałkowski: Legenda i prawda o Kilińskim.

Dr Adam Skałkowski: „Losy śmiertelnych szczętów Marcinkowskiego".

Dr Adam Skałkowski: Wspomnienie o archiwach Wielkopolskich.

Mgr Wacław Skuratowicz: Nowy gatunek ssaka w faunie Wielkopolski.

Ks. Karol Switalski: „Śp. Senior ks. Gustaw Manitius".

Dr Kazimierz Tymieniecki: Z ostatnich dni prof. Stanisława Pawłowskiego.

Dr Kazimierz Tymieniecki: Lędzicze (Lechici) czyli Wielkopolska w wieku IX.

Dr Adam Wiegner: Wspomnienie o Prof. Michale Sobeskim.